

Dziś w numerze: Piątka z placu Hallera • Miejsce dla Łodzi • Na południe od 17 równoleżnika • Morał znad jeziora • Kto znajdzie bombę atomową? • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

# ODGŁOSY



Nr 6 (368)  
13. II. 1966 r.  
10 stron  
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



Fot. E. Przybyłowicz - AFIAP

## W oczekiwaniu na „ROZSĄDNE MAŁŻEŃSTWO”

Wydział Włókienniczy Politechniki Łódzkiej jest jedynym w kraju ośrodkiem naukowym, skupiającym wszystkie dosłownie dyscypliny wiedzy, mające cokolwiek wspólnego z włókiennictwem: poczynając od badań podstawowych w dziedzinie matematyki i chemii, poprzez ekonomikę przemysłu, budowę maszyn włókienniczych i części tych maszyn, automatyzację procesów produkcyjnych, metodykę badań surowców i wyrobów włókienniczych, aż do technologii każdego z etapów produkcji (przedzalnictwo, tkactwo, wykończalnictwo, dziewiarstwo, odzieżownictwo), i to technologii wszystkich rodzajów włókien — zarówno naturalnych, jak i sztucznych.

Dziela się te badania między 13 katedr Wydziału, zatrudniających ponad 80 pracowników naukowych. Dla porównania warto wyjaśnić, że placówki przemysłowe, zakresem działalności odpowiadające katedrom, rozrzucone są aż w trzech ministerstwach i kilkunastu zjednoczeniach.

Wydawać by się więc mogło, że nie z nowości pojawiających się w przemyśle włókienniczym, nie może nie mieć związku z Politechniką. Tym bardziej, iż wiadomo przecież, że dzisiaj właśnie nauka decyduje o postępie gospodarki.

Czy tak jest w istocie? Odpowiedź przynosi przeprowadzona przez naszą redakcję rozmowa z pracownikami naukowymi Wydziału Włókienniczego: doc. dr Marianem Malinowskim (działek Wydziału, kier. Katedry Przedzalnictwa Włókien Lękowych), prof. dr Marianem Chwalibogiem (kier. Katedry Części Maszyn Włókienniczych), dr Januszem Szolandem (Katedra Tkactwa) i dr Włodzimierzem Wieźlakiem (Katedra Surowców Włókienniczych i Metrologii).

Sadziemy, że niejedno ze stwierdzeń naszych rozmówców zaskoczy Czytelników, równocześnie pozwalając na wyrobienie sobie krytycznego stanowiska wobec niektórych aktualnych kwestii z zakresu współpracy nauki i przemysłu.

**RED.:** Czy wobec wyraźnych ostatnich tendencji do unowocześniania produkcji, związanych ze zmianami w planowaniu i zarządzaniu gospodarką, uczelnia, a ściślej: Wydział Włókienniczy — odczuwa jakiś silniejszy „napór” ze strony przemysłu, zwiększone zainteresowanie praktycznymi efektami prac naukowych?

**PROF. CHWALIBÓG:** Postawmy od razu sprawę jasno. Nasze związki z przemysłem nie są tak silne, byśmy mogli natychmiast, na gorąco, odczuwać skutki aktualnych tendencji, które się tam pojawiają. Z obu stron istnieje dobra wola do zacieśniania kontaktów, ale jest wiele zarządzeń administracyjnych, limitujących tę współpracę.

Szereg zarządzeń związanych ze zmianą uchwały nr 108 bardzo utrudnia nam przyjmowanie od przemysłu prac zleconych, tym bardziej, gdy w celu rozwiązania jakiegoś problemu trzeba stworzyć zespół z pracowników różnych katedr. No, w naszej katedrze nieżyłowe są zarówno tzw. limity katedralne, z których opłaca się osoby wykonujące prace zleczone, jak też zasady rozliczeń finansowych z przemysłem. No, rachunki należy wystawiać co kwartał, gdy zwykle w tak krótkim czasie nie można zakończyć nie tylko całej pracy, ale nawet jakiegoś jej etapu.

**DR WIEŻLAK:** Inna sprawa z tego zakresu, to skutki zarządzenia o „jednoetatowości” pracowników naukowych. Zostaliśmy w ten sposób właściwie odcięci od przemysłu, pozbawieni kontaktów. A jeśli już podejmujemy tam jakąś pracę, to do dyspozycji stoi tylko tzw. fundusz bezosobowy, który dla mnie osobiście, zawsze „pachnie” prokuratorem.

## O ŁODZI I LITERATURZE POLSKIEJ

rozmowa z Jarosławem Iwaszkiewiczem

Do Jarosława Iwaszkiewicza, poety, powieściopisarza, dramaturga, eseisty i tłumacza, zwróciliśmy się z prośbą o udzielenie wywiadu dla naszego pisma. Znany ze swej życzliwości, nie odmówił naszej prośbie, choć jak twierdzi — „wywiadów w sercu nie nosi”.

Jarosław Iwaszkiewicz prowadził i prowadzi czynne życie pisarza, redaktora i działacza.

Podróżował i podróżuje wiele po świecie, brał i bierze udział w różnych ważnych kongresach międzynarodowych, zasiada w jury międzynarodowej nagrody im. Bazana. Nade wszystko jednak podróżuje po kraju, którego pejzaże opisał pięknie w wielu swoich powieściach i opowiadaniach.

A oto nasze pytania i Jego odpowiedzi.

**ODGŁOSY:** Chciałbym naszą rozmowę zacząć od pytania. Czy Pan lubi Łódź? Jest Pan przecież autorem pięknego wiersza „Zamieć w Łodzi”, napisanego bodaj w 1945 roku?

**J. IWASZKIEWICZ:** Na pytanie to trudno mi jest odpowiedzieć. Łódź stanowi tak istotny element mojego życia, moich wspomnień, że naprawdę trudno mi się zastanawiać czy ją lubię. Istnieje we mnie i dla mnie od tak dawna, stanowi (pejzaż spod Łodzi) tak istotny składnik mojej twórczości, że nie wiem czy ją lubię. Po prostu dla mnie jest.

Dalszy ciąg na str. 7

Dalszy ciąg na str. 3



Falę oburzenia, jaka przeszła przez świat w związku z podjęciem bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu, Stany Zjednoczone zamierzały „uciszyć” wnieśliem problemu wietnamskiego na forum Rady Bezpieczeństwa. Manewr, sztyt zbyt grubymi nićmi, by mógł się powieść. Zauważyli to nawet publicyści amerykańscy. I tak np. komentator „New York Daily News” pisał: „...pozwól ONZ, by kazała nam przerwać walkę byłoby idiotyzmem. Nie możemy wierzyć, by prezydent z Teksasu mógł to mieć na myśli”.

Oczywiście, Johnson nie miał wcale tego na myśli. Była to kolejna operacja reklamowa, dyktowana tymi samymi względami, co i poprzednia — waszyngtońska „misja pokojowa”.

W Radzie Bezpieczeństwa zresztą nie są reprezentowane ani oba państwa wietnamskie, ani Chińska Republika Ludowa. Ponadto konferencja genewska stworzyła inny mechanizm do zagadnienia indochińskiego — instytucję dwóch wiceprzewodniczących: ZSRR i W. Brytani, i niełatwo rozsądny nie mógł oczekiwać, że wprowadzenie nowego da cokolwiek.

Świat bez trudu przeżył więc intencje Stanów Zjednoczonych i zareagował tak, jak nowy manewr na to zasługiwał. Przyszłowiową kropką nad „i” wydaje się postawili senator Aiken, który przyznał:

„Trudność polega na tym, że w gruncie rzeczy nikt w świecie komunistycznym, a po części również w naszym, nie wierzy, że naprawdę chcemy pokoju”.

Święta prawda. Aż nadto dowodów, że mówienie o pokoju — to zwykła zasłona dymna do intensyfikacji działań w Wietnamie.

Na amerykańskie kroki zareagował oficjalnie rząd francuski, który w komunikacie wyraził „i ubolewanie, i dezaprobatę” wobec decyzji amerykańskich. Ba, nawet w Watykanie, jeśli wierzyć doniesieniom agencji zachodnich, wyrażono „żał”.

Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa odłożono bezterminowo i teraz trwają prywatne konsultacje. Ambasador Goldberg dwój się podobno i trój, zabiegając o decyzje tej Rady. Trudno przewidzieć, co z tego wyniknie.

W tym czasie, kiedy Waszyngton podejmował próby głuszenia detonacji swoich bomb w Wietnamie Północnym — Związek Radziecki uniósł no-

wy, wielki wkład w możliwość osiągnięcia postępu na konferencji „komitetu 18” w Genewie.

Mam tu na myśli kolejne propozycje ZSRR wyrażone w liście premiera Kosygina. Memorandum m. in. stwierdza, że Związek Radziecki gotowy jest włączyć do projektu układu o zakazie rozpowszechnienia broni jądrowej punkt, przewidujący niestosowanie tej broni wobec krajów, które jej nie mają, a które podpiszą proponowany układ.

Nowa propozycja daje więc gwarancje państwom nieukłonnym, że bez ich woli nie zostaną uwikłane w konflikt jądrowy.

Memorandum radzieckie przyjęte z dużym zainteresowaniem i pozytywną oceną. Jest w nim bowiem coś więcej niż tylko — poważny wkład do dyskutowanej sprawy o nierozpowszechnieniu broni termojądrowej. Jest podkreślenie możliwości, a nawet pilności, rozwiązania tego istotnego fragmentu problemu rozbrojenia.

„Zachód — pisze „New York Times” — mógłby obecnie dać jasno do zrozumienia, że gotowy jest zrezygnować z projektu utworzenia wielostronnych sił jądrowych i wszystkich innych podobnych propozycji...”

Ostatnie dni przyniosły Związkowi Radzieckiemu podziw również z innego powodu: wspaniałego sukcesu nauki radzieckiej, która doprowadziła do udanego misyjnego lądowania na Księżycu pojazdu kosmicznego. Na czym polega to wielkie osiągnięcie — wyjaśniono w komentarzach i wypowiedziach naukowców na łamach prasy codziennej, w radio i telewizji. Chciałbym więc tylko w nawiązaniu do obrad genewskich podkreślić na tym świeżym przykładzie, jakie kolosalne możliwości stwarza współczesna technika. Mogą one być dowolnie wykorzystane i tylko od woli ludzi zależy, czy dla nich, czy przeciwko nim. Zdecydowanie o tym jest konieczne również dlatego, że — jak przyznał Johnson w swym orędziu budżetowym — „nawet kwitujące państwo nie może zrealizować wszystkich swoich celów równocześnie”.

W chwili, gdy przygotowuję komentarz do druku, przebiega z wizytą we Francji kanclerz Erhard. Pewien kompromis luksemburski tuż przed wyjazdem Erharda napawał część komentatorów optymizmem co do przebiegu rozmów. Ale nie wszystkich. Inni nie bez racji zauważali, że osłabienie stosunków Paryż — Bonn sięga kulminacji.

Przypomnijmy w związku z tym, że zasadnicze rozbieżności dotyczą kwestii EWG, kwestii wietnamskiej, zintegrowanej siły nuklearnej oraz polityki wschodniej, intensyfikacji której de Gaulle — jak wydaje się — odpowiada na wzmocniony niemiecki kurs w kierunku Waszyngtonu. I nie jest zapewne przypadkiem, że tuż przed przyjazdem Erharda do Paryża podano do wiadomości, że de Gaulle uda się z wizytą do Moskwy w połowie czerwca br.

W. SŁAWSKI

## Kronika TYGODNIA

■ Radziecka stacja atomowa „Luna-9” wylądowała miękko na Księżycu przekazując na Ziemię telewizyjne obrazy fantastyczne go krajobrazu ziemskiego satelity. Sensacyjny sukces nauki radzieckiej wzbudził podziw, zachwyt i uznanie całego świata. „Jest to zupełnie niezwykle osiągnięcie. Rosjanie wykazali, że znaleźli się bezwarunkowo na czołowym miejscu w realizacji zadań kosmicznych, które przeprowadzają z dużą determinacją” — oświadczył dyrektor francuskiego ośrodka badań kosmicznych Robert Augieres. Czołowe dzienniki amerykańskie wyrażają uznanie dla wyczynu radzieckiego równocześnie ubolewają nad brakiem współpracy między obu państwami w podboju przestrzeni kosmicznej.

przed scenami małżeńskimi i niewiernościami.”

■ Praski dziennik „Rude Pravo” występuje przeciwko nadmiernej ilości przepisów, dyktów i zarządzeń, które w liczbie około 5 tysięcy, krępują działalność gospodarczą czechosłowackich przedsię-



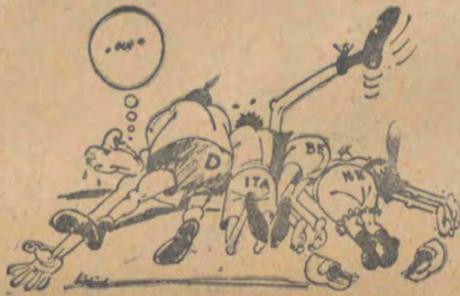
Kuglarz. (New Statesman)

Wielką sztuką jest rościć inteligentne błędy.  
FEDERICO FELLINI

■ Wydawnictwo Uniwersytetu Harvardzkiego przesłało niedawno swemu prenumeratorowi, prezydentowi USA Johnsonowi, list na jego domowy adres w Teksasie. Po pewnym czasie list wrócił do nadawcy z adnotacją pocztą: „Adresat zmienił miejsce zamieszkania, nie zostawiwszy nowego adresu”.

■ Konferencja krajów

biorstw. Dziennik przytacza przykład dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa amerykańskiego, który mając na względzie osiągnięcie większych zysków przeprowadził decentralizację i w czasie 13 lat pracy na swym stanowisku wydał jedynie 6 wiążących dyktów. Uważamy za wielce użyteczne — pisze „Rude Pravo”, studiowanie podobnych doświadczeń.



(Die Welt)

Wspólnego Rynku w Luksemburgu zakończyła się kompromisem. Francuski dziennik „France Soir” charakterystycznie obecną sytuację w tonie EWG, pisze: „Szóstka zachowuje się jak małżeństwo, które myślało o rozwodzie. W łoku rozprawy pojednawczej doszli do wniosku, że ich interesy są nabyły powiązane by mogli poniechać wspólnego życia, co jednak nie oznacza wcale, by chronili ich to

■ „Trzy życia Charles de Gaulle’a” — oto tytuł nowej publikacji poświęconej sylwetce prezydenta Francji, której autorem jest b. korespondent CBS w Paryżu David Schoenbrun. Autor książki zgromadził na jej kartach cały szereg ciekawostek i anegdot włączonych się z życiem de Gaulle’a. Oto jedna z nich. De Gaulle posiadał niegdyś reputację mężczyzny cieszącego się powodzeniem u kobiet. Zdarzyło mu się kiedyś adorować kobietę, o której względy ubiegał się również jego towarzysz broni marszałek Petain. Zapytany z czasem generał, czy historyjka ta odpowiada prawdzie, odrzekł: Tak. Petain i ja w walnym czasie na tym samym terenie, lecz nigdy tej samej nocy”.

Być zawsze sobie wierzonym to dewiza przeciwników.  
EUGENE IONESCO

■ Obserwatorzy polityczni wydarzeń indonezyjskich utrzymują, iż obecny konflikt między administracją prezydenta Sukarno a władzą wojskowych świadczy, iż te ostatnie dążą do wytworzenia takiej sytuacji w kraju, która dowiodłaby narodził, iż Sukarno i jego rząd „nie są zdolni sprostać problemom kraju”, w związku z czym kół wojskowe „zostałyby zaproszone”, do sprawowania kontroli, a nie byłoby odpowiedzialne za błędy dawniej popełnione.

■ Sekretarz Generalny Sojalistycznego Związku Ludu Pracującego Jugosławii M. Popovic, wezwał komunistów jugosłowiańskich do zwalczania przejawów nacjonalizmu. Nacjonalizm — powiedział Popovic — występuje w Jugosławii biurokracji w postaci „obrony obrotu i etatyzmu przed postępem bezpośredniej demokracji i samorządu”.

■ Według danych statystycznych w minionym roku w Australii, która zamieszkuje 11 milionów ludności, na hazardowe gry wydano 737 milionów funtów szterlingów. Suma ta jest zaledwie o 4 miliony funtów niższa, aniżeli wszystkie wydatki Australii na obronę, pomoc krajom słabo rozwijającym się, oświatę, zdrowie i ubezpieczenia społeczne.

■ Profesor Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, Robert Hilsman, omawiając aktualną politykę Stanów

Zjednoczonych w Azji oświadczył, iż w warunkach istniejącego układu sił i tendencji politycznych w tej strefie świata, obrany przez Stany Zjednoczone kurs prowadzi do starcia z CHRL, a wynikiem trzymania się tego kursu może być tylko wojna. W obecnej sytuacji — powiedział Hilsman — można postawić sobie tylko pytanie, kiedy wybuchnie wojna i w jakich nastąpi okolicznościach.

■ W Coventry w Anglii obradowała specjalna komisja nad problemem walki z małoletnimi autorami science-fiction w rodzajem „Bob lubi Ethel”. Naklejanie ścian reklamami i afiszami pobudziło jedynie inwencję twórczą dzieci, które przyozdabiały foty gwiazd filmowych i reklamowych plakatami wami. W tych okolicznościach komisja postanowiła: „napisy należy bezwzględnie usuwać, aby ich autorzy nie sądzili, że pozostawiają na trwałe owe pamiętniki dla przyszłych pokoleń”.

■ Nawiązując do konferencji trzech kontynentów zakończonych w Hawanie, premier Kuby Fidel Castro powiedział: „Afryka i Azja triumfują nad imperializmem w wielu bitwach. Natomiast Ameryka Łacińska będzie polem bitewnym do następnego starcia”.

■ Redaktor londyńskiego periodyku „Kuchnia doskonała” zakpiła sobie z francuskiej policji. Nie tak dawno otrzymała ona list od byłego przywódcy OAS J. Soustelle’a, ukrywającego się przed władzami paryskimi gdzieś w Szwajcarii, z prośbą o wydanie mu paszportu w celu wyjazdu z gruz i krabów. „Słowo daję, nie wiedziałam, że pana Soustelle’a poszukuje policja, powiedziała redaktor pisma. Znalazłam jego partycki adres w informatorze i na ten adres posłałam list. W niespełna dwa tygodnie otrzymałam odpowiedź”.

■ Decyzja prezydenta Johnsona wznowienia barbarzyńskich bombardowań DRW spotkała się z szeroką falą protestów światowej opinii publicznej. Rząd francuski opublikował specjalny komunikat, dając w nim wyraz swemu negatywnemu stanowisku wobec polityki Johnsona. Jeden z najpopularniejszych komentatorów telewizyjnej amerykańskiej oświadczył natomiast, że komunikat francuski „mógłby być zredagowany w Moskwie”.

Magia jest starą wiedzą. Nauka jest młodą magią.  
MARCEL AYMÉ

■ Rząd Konga (Leopoldville) podjął decyzję wysiedlenia bezrobotnych z miast i odsłania ich do rodzinnych wsi.

■ Przed sądem w Chicago rozpoczął się proces grupy lekarzy oskarżonych o wytworzenie i rozprowadzenie specyfiku, rzekomo skutecznego w leczeniu raka. Oskarżyciel publiczny, lekarz, nazwał proceder oskarżonych „szachrajką aferą”.

### Z OKAZJI KRAKOWSKIEGO JUBILEUSZU

„Leez, że wszystko mija w świecie,  
(Niech go jasny piorun trzaśnie!)  
I zdarzyć się może przecie  
Ze tradycja ta wygaśnie”

Święte słowa Boya z okazji krakowskich jubileuszów brzmią dzisiaj już niemal proroczo. Gdyby w tych latach zapytał dziennikarza jakiś resolutny chłop — coż tam panie w polityce kulturalnej — dziennikarz mógłby odpowiedzieć tylko tak: krakowianie trzymają się mocno, oni i nikt więcej.

Tak, tak. Zauważmy sobie z Krakowa, mówimy, że czas płynie tam wolniej, pedkpiwamy z krakowskiej jubileomanii, ale w gruncie rzeczy jest to najwyklesza pod słońcem zazdrość. No, bo proszę — „Życie Literackie” przeżyło już równo 15 lat! Najprzedniejsi kawalerowie Rzeczypospolitej Ludowej złożyli publicznie gratulacje. Nie brak wśród nich przedstawicieli władzy najwyższej, jest także Lesław Bartelski i Bohdan Drozdowski i wiczyzny prezes Stefan Otwinowski i mistrz w kreśleniu okolicznościowych telegramów, ukrywający się zresztą pod pseudonimem „Uniwersytet w Rożnicy” i żołnierz służby czynnej i Jan Sztudyingner, uczeni, aktorzy, słowem sam kwiat, z Janem dwójga imion, Marią Gisgesem na czele.

A Warszawa co? Kudy tam jeszcze „Kulturze”, czy „Współczesności” do takiego jubileuszu! Zresztą, czy dożyją równie pięknego wieku, jak krakowskie „Życie Literackie”? Któż to może wiedzieć? Tradycja jubileuszów pism literackich wyrażanie nam wygasa. Nie dlatego — rzecz prosta — aby nam się znudziły jubileusze, lecz z braku jubilatów.

Ież to ja sam przeżyłem pism literackich na przestrzeni swojego nie tak znowu krótkiego żywota? Sam kładłem pierwsze cegły pod gmach tygodnika „Wies”, wbiłem mu też gwoździe do trumny, a pismo jubileuszu nie doczekało, zmarło śmiercią nagłą i cichą. Na grobie darmo szukać kwiatów. Podobnie miała się rzecz z łódzką „Kroniką”, uczestniczyłem przy narodzinach i w ceremonii pożegnalnej. A pismo jubileuszu nie doczekało.

No, a łódzko-warszawska „Kuznica”? A „Odrodzenie”. „Nowa Kultura” i „Przegląd Kulturalny”? Żeby chociaż, niech już będzie, po dziesięć lat bez okładu, tylko gołe dziesięć lat!

Tak więc wróćmy nam się tradycja pism literackich, brak tu ciągłości, a więc czegoś ogromnie istotnego, jeśli chcemy mówić o trwałym dorobku kulturalnym. Zapal, z jakim rozmaite grupy pisarzy rozpoczynają od początku redagowanie następnego z kolei pisma, godny jest podziwu, lecz strzepli nie zawsze dadzą się złożyć w całość obrazującą przeszło dwudziestoletni dorobek literatury, strzępkami niepodobna wpływać na bardzo złożoną całość naszego życia kulturalnego.

Tandem tedy pewnej ciągłości, tradycji, strzeże nam dzielnie tylko „Życie Literackie”. Chociaż, czy ja wiem? Na tak zwanej polskiej prowincji działa wlecie lat lubelska „Kamena”, ale i inne pisma przestają powoli rączkować. Jednak trzyma się i to dobrze wrocławskie „Odra”, od lat wychodzi zielonogórskie „Nadodrże” i pewnikiem dobieje jubileuszu, Wilhelm Szewczyk już od kilku lat popycha wózek z „Poglądami” na swoim Śląsku, gdańskie „Litery” rozwijają żagle, no a łódzkie „Odgłosy”? Państwo mnie rozumieją, jeżeli napiszę teraz jedno niepotrzebne zdanie, mogę dostać wymówienie i stracię swego felietonistę. No, ale w każdym razie mogę powiedzieć, że to twarde tygodnik, redaktorzy migają jak w kalejdoskopie, leca jak meteory na łeb i szyję, a pismo jak wychodzi tak wychodzi. Może więc i ono dobieje szczęśliwej piętnastki? Może to jednak prawda, że ruch literacki poza stolicą wykazuje trwały rozwój? Jest autentyczny, choć może nie zawsze ośniewający?

Myślę, że najprzedniejsi kawalerowie Rzeczypospolitej, wśród nich oczywiście także i Drozdowski z Bartelskim, zechcą na tę pozostającą część naszego życia kulturalno-literackiego zwrócić uwagę.

*Wierbanjarichydy*

Doc. dr TADEUSZ OLSZEWSKI

## PIERWSZY W ŁODZI — DRUGI W POLSCE

Z końcem ubiegłego roku ukazał się na półkach księgarskich Atlas województwa łódzkiego, firmowany przez Radę Naukową przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, wydany przez Ludwika Straszewicza, profesora Uniwersytetu Łódzkiego. Jest to publikacja — pierwsza tego rodzaju w Łodzi, druga w Polsce po Atlasie gospodarczym województwa opolskiego opracowanym przez tegoż samego autora.

Byłoby, oczywiście, wielką przesadą i nieprawdą, gdyby usiłowało się twierdzić, że region łódzki tworzy jakąś białą plamę na mapie Polski. I że ATLAS ją wreszcie wypełnił. Niemniej jednak wiemy o naszym województwie za mało, by żyć w nim z pełną świadomością tego, co się wokół nas dzieje, i by kształtować jego losy w sposób racjonalny. Z tego też powodu każda publikacja zbliżająca nas do rzeczywistości i wskazująca na kierunki dalszych badań należy powitać z największym uznaniem, zaś jej autorem wyrazić głęboką wdzięczność.

Na ATLAS składają się 52 wielobarwne mapy, liczne wykresy i krótki opis słowny województwa. Na sześciu tablicach prezentuje środowisko przyrodnicze, na trzech — zagadnienia ludnościowe, na dziewięciu — problemy gospodarcze, na trzech — problematykę społeczną i kulturową; do jednej poświęca oddzielną administracyjnemu oraz syntetycznej wizji sytuacji gospodarczej w 1980 r.

Z map przyrodniczych czytamy, że chociaż los nie ob-

darzył nas ani górami, ani morzem, ani nawet jeziorami — dostarczającymi zazwyczaj mocnych wrażeń, to jednak nie poskąpił nam malowniczych krajobrazów, pozwalających na prowadzenie dostatecznie zróżnicowanej gospodarki i zachęcających do wszelkiego rodzaju turystyki. Przejrzysta oraz bogata w treść mapa turystyki i wypoczynku, wzbogacona o wielobarwne plany kultury ludowej, oferuje nam do wyboru zarówno atrakcyjne miejsca jak i środki lokomocji. Z ATLASEM w ręku przestajemy już być królikami doświadczalnymi babei, wróżącej na dwoje, lub też ofiarą dezinformacji wszytkowiedzących przyjaciół. Szkoda tylko, że mapa nie zryzykowała poinformować nas, czy obok nasycenia żądzy wrażeń znajdziemy w wybranych miejscach także możliwość zaspokojenia zwykłego głodu. Czyż by przezorność nie pozwoliła autorowi mapy na narażenie na szwank swego dobrego imienia? Wiadomo przecież, jak to bywa z terenowymi przedsiębiorstwami żywienia zbiorowego.

Mapy — hipsometryczna, geologiczna, hydrograficzna i florystyczna wyjaśniają nam wiele czynników kształtujących krajobraz naturalny. One też w połączeniu z klimatycznymi, rozmieszczenia surowców mineralnych i gleb, dostarczała nam źródłowych informacji o warunkach ułatwiających, czy utrudniających produkcję rolną i przemysłową, transport i komunikację, gospodarkę miejską; sygnalizują ważne problemy konserwacji środowiska przyrodniczego.

go, w którym żyjemy, racjonalnego planowania przyszłości. Z mapy hydrograficznej np. dowiadujemy się z przerażeniem, że niewiele już pozostało nam rzek z czystą wodą. Z porównania tej mapy z innymi nasuwa nam się nieodparty wniosek, że im wyższy stopień umiastowienia i uprzemysłowienia, tym dalej posunięta dewastacja jednego z podstawowych składników substancji majątku narodowego. Szczególnie jaskrawo przejawia się ta tragiczna zależność w obszarach środkowych i północnych, najmniej obfitujących w opady. Tymczasem właśnie tutaj potrzebne wodne są największe, bo i rolnictwo najbardziej intensywne, i przemysł wiele, i stłoczenie ludności największe, i miasta niedoinwestowane, itd. itd. Jak długo jeszcze wytrzyma systematycznie podcinana gałąź, na której opiera się nasza egzystencja? Atlas mówi o tym wszystkim sine odio et ira, my bierzemy na alarm. Do godziny dwunastej nie pozostało już wiele minut.

Mapy środowiskowe, ograniczone założeniami programowymi zarówno co do stopnia szczegółowości jak i ilości prezentowanych zagadnień, nie wyczerpują, rzecz jasna, problemu ekologii społecznej; wyrażają na jego wagę i wykazują niezbędność dalszych szczegółowych studiów.

Dział problematyki ludnościowej otwierają zwarte rzuty historyczne. Ukazują one tyle dynamiki procesów dziejowych w tworzeniu się dzisiejszego regionu łódzkiego, w powstawaniu i upadku miast, w narastaniu aktualnej sieci kolejowej, że można je czytać jak fascynującą powieść. Cofnijmy się np. myślą wstecz do czasów bardzo bliskich, w których szedło swą młodość dzisiejsze pokolenie „w sile wieku”. Aż uwierzyć trudno, z Łodzi do Kutna jechało się koleją przez Skierniewice — Łowicz, akurat dwa razy dalej niż obecnie przez Łęczycę. Nie daj Boże, gdy trzeba było z takich miast powiatowych jak Stupca czy Wielu-

żatwie jakąś sprawę obywatelską lub dokonak zakupu w Łodzi. Tylko doróżka konna lub rower mogły nieszczęsnego obywatela przetrząsnąć do stolicy swego województwa: 120—150 km w jedną stronę po nie najlepszych drogach. Prawdziwa wyprawa, mogąca przeciągnąć się i na kilka dni. A co działo się, gdy kompetentny urzędnik miał niestrawność żołądka, lub wyspecjalizowany sklep przy mował towar albo ustalał wykosokę manka czy superaty? Drogiocenne były wówczas podpis referentów i modne fatalazki. A może inaczej umiano organizować usługi dla ludności?

Nie mniej zainteresowania budzą dalsze mapy ludnościowe. Taka np. mozaika gęstości zaludnienia od poniżej 40 do ponad 200 osób na kilometr kwadratowy. Odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie lubią się tłoczyć w pewnych miejscach, mając do dyspozycji tyle jeszcze wolnej przestrzeni gdzie indziej, dają następane mapy. Analiza struktury zawodowej wykazuje, że wzdłuż najstarszych linii kolejowych znacznie więcej ludności utrzymuje się z zawodów pozarolniczych, nie wymagających do swego funkcjonowania dużych przestrzeni niż boza zasięgiem ich oddziaływania. Mapa ta stawia równocześnie wielki znak zapytania nad tzw. „magistralą węglową”. Dlaczego nie wywiera ona atrakcji lokalizacyjnej dla zakładów przemysłowych? Dlaczego przez 20 lat gospodarki planowej nie utraciła dawniejszego niemal kolonialnego charakteru? Przecież linia łącząca Górny Śląsk z portami morskimi, na długości około 120 km na zachodzie naszego województwa płyna bez przerwy potoki niebrzebranych skarbów. Nie można wręcznie przywracać średniowiecznych przywilejów składowania, ale przecież nie stoi na przeszkodzie, by z wielkiego bogactwa od kilkudziesięciu lat toczącego się przez nasze najuboższe rubieże zachodnie uszczelnić coś niecoś. Dlaczego mieszkańcy „strefy przymagistralnej”, krzuszac się dymem lokomotyw wo-

jących tam i z powrotem dziesiątki tysięcy ton towarów na dobę, wciąż muszą tylko wzdychać, jak to innym jest dobrze? Odnosi się wrażenie, że nasi i nie nasi przodkowie umieli dużo skrzętniej korzystać z rezerw produkcyjnych, niż to my dzisiaj czynimy.

Kolejne mapy i wykresy naświetlają nieco bliżej strukturę galeziowa łódzkiego przemysłu.

Zespół map poświęconych rolnictwu otwierają pomysłowo zestawione opracowania form użytkowania ziemi, pozwalające na interesujące bezpośrednie porównania w skali: województwo łódzkie — Polska — Europa. Następuje analiza struktury upraw i hodowli. Z ośmiu mapek dowiadujemy się: co, gdzie, w jakim natężeniu wytwarza rolnictwo łódzkie. Szkoda tylko, że przyjemne dla oka barwy nie najszybciej zostały uszeregowane w swej skali znaczeniowej, tworząc dość trudno czytelną mozaikę. Doskonale znowu wypadły mapy sieci drogowej oraz natężenia ruchu kolejowego i autobusowego. Pomysłowość autora koncepcji rozwiązania trudnego zagadnienia pogłębienie idzie tutaj o lepsze z technika wykonania. Pięć map tematycznych daje nam nieledwie wizję z lotu ptaka połączeń przestrzennych w obrębie województwa i kraju, oraz łatwo czytelną informację, z jaką częstotliwością na jakich odcinkach kursują interesujące nas środki lokomocji. Spontanicznie odczuwamy wdzięczność dla naszej PKS, na która nie bez racji zbyt często psoczymy, że wybierając się np. do Nowego Miasta, Uniejowa czy Praszki — nie musimy już sztykować się na kilka dni niewygody, jak to było jeszcze nie tak dawno temu.

W serii map poświęconych miastom znowu na początku sngladamy w ich przeszłość. Wiele z nich osiągnęło już czcigodny wiek licznych stuleci. Z następných opracowań poznajemy stan gospodarki komunalnej, główne źródła zatrudnienia. Smetek człowieka ogarnia, gdy się patrzy na symbole zbyt wielu miast i miasteczek. Egzystując od

wieków, nie potrafiły do tej pory zabezpieczyć swoim mieszkańcom nawet minimum elementarnych wygod i znosnych warunków sanitarnych w postaci wodociągów, kanalizacji, gazu. Wielkie zaniedbania pozostawiła nam w spuściznę przeszłość. Czekana nas jeszcze olbrzymie dobrze przygotowany wysiłek inwestycyjny, by wreszcie osiedla pełniące ważne funkcje miast stały się nimi również w sensie warunków codziennego życia mieszkańców.

Optymizmem tętna mapy przedstawiające oświatę i kulturę. Dużo mamy szkół i bogaty jest zespół ich specjalizacji. Niemniej jednak pustkami straża niektóre obszary, jak np. powiat poddębicki, pajęczański. Nietatwa sytuacja ma młodzież na dużych przestrzeniach powiatów radomszczańskie, rawskiego, sieradzkiego i gdzie indziej. Dojazdy do szkół autobusami, nierzadko zatłoczonymi powyżej normy, kosztują młodzież nabyt wiele czasu i energii. Mapa rozmieszczenia szkół, wbrew intencjom autora, oczywiście, wprowadza nas trochę w błąd. Identyczne znaki reprezentujące szkoły tego samego wyprawdzie typu, ale o nieporównywalnej ilości miejsc, sugerują nam znacznie lepszą sytuację przestrzenną niż ona jest w rzeczywistości.

Chociaż ogólny obraz oświaty, zarysowany przez mapki, wywołuje pozytywne wrażenie, nie wolno nam spocząć na laurach. Dużo jeszcze trzeba społecznego wysiłku, by przyspieszyć realizację planów państwowych w tej dziedzinie. Nie może on jednak ograniczyć się do złotych, od lat oddawanych przez nas na budowę szkół. Musi mu towarzyszyć także ofiarna i nieugięta inicjatywa, jak np. okazała w Szczercowie P. Wolniak, który po latach uporczywej walki z ludzką inercją i zaściankowymi ambicjami zbudował w po-

Dalszy ciąg  
na str. 5

## W oczekiwaniu na ROZSĄDNE MAŁŻEŃSTWO

Dalszy ciąg ze str. 1

PROF. CHWALIBÓG: W tej sytuacji nasza współpraca z przemysłem nabiera w coraz większym stopniu charakteru pracy społecznej. Ostatnio na przykład, w czasie posiedzenia Komitetu organizacyjnego II Zjazdu Naukowego Stowarzyszenia Włókienników spozstrzegłem, że wśród 10 osób na sali jest nas sześciu pracowników Politechniki. To bardzo ładnie, wszyscy z dumą nosimy odznaki NOT, ale jaka z tego korzyść praktyczna dla gospodarki?

DOC. MALINOWSKI: Uczestniczyłem w pracach zespołu fachowców, który zajmował się modernizacją grzeblarek. Po 6 latach prace zostały zakończone sukcesem, osiągnięto podwojenie wydajności maszyn. Z obliczeń wynika, że nagroda wyniesie 400 tysięcy złotych, później na skutek jakichś zarządzeń „obcięto” ją do 100 tysięcy. Zespół liczył około 50 osób. Dalsze kalkulacje, jak również komentarze — chyba zbyt techniczne.

Jedyną właściwą możliwością kontaktów z praktyką, jaka nam w tej chwili została, to uczestniczenie w radach naukowych instytutów i centralnych laboratoriów, lub innej formy doradztwa. Praca ta nie przynosi ani korzyści finansowych, ani splendorów naukowych, niemniej, rozumiejąc jej wagę, garniemy się do niej.

RED.: Jak wynika z obliczeń przeprowadzonych przez jednego z Panów przed naszą rozmową, w Katedrach Wydziału Włókienniczego prowadzi się w tej chwili co najmniej 26 tematów, których praktyczna przydatność dla przemysłu nie ulega wątpliwości. Można chyba na tej podstawie wnioskować, że dążność uczelni do utrzymywania kontaktów z „życiem” jest znacznie silniejsza, niż ograniczenia administracyjne, których zapewne przypadkowo nagromadziło się obecnie tak wiele?

PROF. CHWALIBÓG: Sprawa wcale nie jest taka oczywista. Wśród młodej kadry naukowej spotykamy już w tej chwili ludzi, którzy nigdy nie mieli żadnych kontaktów z praktyką przemysłową, zaś przy naszym działaniu ograniczeń, będzie ich coraz więcej. A przecież ktoś, kto nigdy

sam nie skonstruował maszyny, nie może być w żadnym wypadku dobrym wykładcą tego przedmiotu. To tak, jakby ktoś, kto naucza chirurgii, sam nigdy nie operował.

DR WIEŻŁAK: Innym ze skutków ograniczeń, a przede wszystkim zarządzenia o jednoetatowości, jest odpływ zdolnej młodzieży z uczelni.

Trzeba doprawdy być człowiekiem nieczułym na warunki materialne, żeby w tej chwili rozpoczynać karierę naukową.

DOC. MALINOWSKI: To działanie wbrew możliwościom jest utrudnione również przez brak aparatury. Dość powiedzieć, że nasz budżet na ten cel wynosi 200 tys. złotych rocznie, a czasem koszt jednego aparatu dwukrotnie przewyższa te kwoty.

DR WIEŻŁAK: Trzeba wiedzieć, że ograniczenia administracyjne dotyczą również kwestii naszego wyposażenia. Teoretycznie nie wolno nam przyjąć od przemysłu żadnej darowizny bez zgody naszego ministerstwa, na którą to zgodę czeka się nieraz i 2 lata. Wniosek z tego, że cały właściwie zakład odzieżownictwa, którym kieruję, wyposażony został drogą nielegalną. Ale w naszym wypadku było to możliwe do przeprowadzenia, bo chodzi o niewielkie maszyny, które zdobywaliśmy stopniowo. Natomiast w wypadku jakiegoś jednego, ale dużego i wartościowego przyrządu, lub zespołu maszyn, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

DOC. MALINOWSKI: Nie można tu nie wspomnieć o dobrej woli Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, które od lat stara się systematycznie przychodzić nam z pomocą. Ostatnio nawet ustalono pewien klucz pomocy inwestycyjnej, to znaczy poszczególne zjednoczenia mają się opiekować „przdyzielonymi” im katedrami naszego wydziału. Metoda ta nie we wszystkich wypadkach zdaje egzamin, bo banki najbardziej ohocho obcinają przedsiębiorstwom właśnie fundusze inwestycyjne przeznaczone dla uczelni. Niedawno, dla przykładu, Centralne Laboratorium Przemysłu Bawełnianego powiadomiło nas, że z takich to właśnie powodów, pomoc będzie nieaktualna w ciągu najbliższych kilku lat.

Jednak, jeśliby ten system nawet w pełni zdawał egzamin, to wzbogacilibyśmy się przede wszystkim w maszyny, którymi dysponują przedsiębiorstwa opiekuńcze, nie zaś w specjalistyczną aparaturę do badań naukowych. Co innego w wypadku, gdyby przedsiębiorstwo wspólnie z nami prowadziło jakiś określony temat badawczy i nastawiało się na zdobycie, bądź sfinansowanie aparatury właśnie do tego konkretnego celu.

DR WIEŻŁAK: Pod tym względem w znacznie lepszej sytuacji znajdują się uczelnie resortowe, jak np. akademie medyczne czy szkoły wychowania fizycznego. Trzeba by się zastanowić, czy poszczególne wydziały politechniki nie powinny posiadać ściślej — i prawnie usankcjonowanej więzi ze „swoimi” resortami.

DOC. MALINOWSKI: W każdym razie, obecnie daje się zaobserwować zjawisko starzenia się potencjału badawczego naszego Wydziału, w stosunku do tego, którym dysponują instytuty przemysłowe. Przemysł swoje zagadnienia praktyczne coraz chętniej

lokuje właśnie w Instytutach, do nas trafiają odpryski.

A jeśli my z kolei podejmujemy wysiłek włączenia się w tematykę aktualną, pilną do wdrożenia w praktyce, to związane jest to z karkołomną doprawą „gimnastyką”.

RED.: Na podstawie uwag, które tu padają, musimy dojść do wniosku, że pytania postawione przez nas na wstępie, było — łagodnie mówiąc — przedwczesne. Zamiast oczekiwanego ożywienia współpracy, obserwujemy — wynikałoby — znamiona stagnacji, co kontrastuje w sposób oczywisty z aktualnymi potrzebami gospodarki.

DR SZOSLAND: Można raczej stwierdzić, że my — pracownicy naukowi, jesteśmy zdenerwowani przedłużającym się ponad wszelką miarę okresem „narzeczeństwa” nauki i praktyki. Z obu stron mamy do czynienia z gestami, przypominającymi wręczanie koszków kwiatów i bombonierek. My staramy się za wszelką cenę nawiązać kontakt, Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, nie czyniąc konkretnych zamówień i nie licząc na szybkie korzyści, zasila nas co roku zastrzykiem około miliona złotych. Dzięki temu np. nasza Katedra Tkactwa należy dziś do najlepiej wyposażonych w Europie. Trzymając się dalej przemożni, trzeba tę parę narzeczeńską zamienić wreszcie w rozsądne małżeństwo. Zreszta o wnioskach bardziej precyzyjnych pomówimy chyba na końcu, teraz chodzi mi raczej o oddanie klimatu, w którym przyszło nam pracować.

Wyjaśnijmy jeszcze pewne sprawy, o których była już mowa. Z punktu widzenia ustawy o szkolnictwie wyższym, uczelnia — bądźmy szczerzy — nie jest zainteresowana współpracą z praktyką. Ustawa wymaga od pracownika zrobienia w jak najkrótszym czasie doktoratu i habilitacji, a mogą to być prace całkowicie teoretyczne. Ten, kto szybko zdobywa tytuły i stopnie, jest nieraz nawet lepiej widziany niż ktoś, kto „upiera się”, by wyniki jego badań znalazły zastosowanie w gospodarce.

Odrzućmy również motywy zainteresowania materialnego, bo to tylko zaciemnia sprawę. Jak tu dyskutować o kwestiach finansowych, kiedy starszy asystent po 6 latach pracy może zarobić maksimum 2,5 tys. złotych, czyli znacznie mniej, niż jego kolega w przemyśle.

Nas, wszystkich tu obecnych, do współpracy z przemysłem pcha ambicja utrzymania się w nurcie życia i świadomość, że obsługujemy drugą co do ważności gałąź przemysłu w kraju. Reszta ma tylko znaczenie uboższe. Nikt naszej Katedrze Tkactwa nie narzucał metody, która przylejamy w wypadku prac magisterskich. Zanim student — stypendysta rozpoczyna przygotowania do dyplomu, indagujemy zakład pracy, który funduje stypendium, jaki temat z ich punktu widzenia warto by opracować. Następnie organizujemy swego rodzaju obronę pracy magisterskiej z udziałem przedstawicieli fundatora. Postępujemy tak, ponieważ uważamy, że może to przynieść korzyści praktyczne.

Wychodząc z podobnego założenia, skonstruowaliśmy w Katedrze krosno beczółenkowe, które dać może państwu duże oszczędności. Z własnej inicjatywy i bez

żadnych funduszy organizujemy również w Katedrze prelekcje i spotkania z przedstawicielami przemysłu. Jest to więc rzeczywistość, jak mówił na wstępie prof. Chwalibóg, praca społeczna. Ale w tym określeniu nie tkwi wyrzut z naszej strony. Chcielibyśmy po prostu widzieć jakieś realne rezultaty tych wysiłków.

PROF. CHWALIBÓG: Pragnąłbym zacytować pewien przykład pozytywny, bo i takie bywają, choć na ogół o nich tu nie mówimy. Otóż w swoim czasie chcieliśmy ustalić sobie w naszej Katedrze metody pracy nad elementami zamiennymi do maszyn włókienniczych. Można było wybrać drogę teoretyczną lub praktyczną, na przykładzie skonstruowania jakiegoś elementu. Zainteresowaliśmy tym problemem Instytut Włókiennictwa, który zlecił nam opracowanie nowej wersji tzw. widelca czujnika katkowego. Ostatnio, po roku prac, element ten wchodził już do masowej produkcji, a przemysł zaoszczędził na nim milion złotych w skali rocznej. My zaś zyskaliśmy doświadczenie, konieczne w dalszych pracach katedry.

DR WIEŻŁAK: Na ogół można spodziewać się sukcesu w postaci wdrożenia jakiegos opracowania do przemysłu, pod warunkiem jednak, że nie wymaga to rozważań konstrukcyjnych. Powiem dla przykładu, że opracowałem i opatentowałem metodę produkcji laminatów na kleju z surowców krajowych, ale nikt się tym nie interesuje, bo wprowadzenie metody wymagałoby skonstruowania nowego typu agregatu do laminowania tkanin. Zreszta nie będzie chyba przesady w pewnym stwierdzeniu ogólniejszym, że mimo zmian w strukturze zarządzania, przemysł w dalszym ciągu nie chce angażować się w rzeczy „niepewne”, unika ryzyka.

DOC. MALINOWSKI: Pora już chyba na jakieś konkluzje. Niezależnie od ograniczeń administracyjnych, których nagromadziło się mnóstwo, lecz które — miejmy nadzieję — są do usunięcia bądź złagodzenia, istnieje pewna zasadnicza sprzeczność w dążeniach uczelni i przemysłu.

Przemysł wymaga od nas rozwiązań odcinowych, nasza ambicja zaś są przede wszystkim tematy szerokie, perspektywiczne. Samo więc znieśnienie nierozumnych zarządzeń, które dziś uznajemy za główną przeszkodę, bo właśnie one są najbardziej odczuwalne i dotkliwe, jeszcze wszystkiego nie załatwi.

Na ile tylko nas stać, jesteśmy gotowi pomagać w doraznych kłopotach przemysłu, ale z drugiej strony potrzebne są nam warunki do prowadzenia badań „dalekosiężnych”. Pragniemy w tym celu na naszym Wydziale powołać instytut podstawowych problemów włókiennictwa. Jest już wstępny projekt instytutu, nie ma tylko mecenasa, który tę działalność sfinansuje.

RED.: Czyli, o ile dobrze rozumiemy, należy szukać sposobów rozwiązania kłopotów doraznych i myśleć równocześnie o przyszłości.

DOC. MALINOWSKI: I jedno i drugie nie należy do rzeczy łatwych.

ROZMOWĘ PRZEPROWADZIŁ:  
J. BRYŚ

# MIEJSCE dla ŁODZI

„Łódź liczy 740 tysięcy mieszkańców, składa się z kilkunastu dzielnic. Układ zabudowy mieszkaniowej i fabrycznej ma charakter chaotyczny. Śródmieście cechuje szachowniczy układ ulic. Domy o niejednokrotnym gabarycie — obok wielopiętrowych kamienic, parterowe, drewniane domki. W centrum mało zieleni. Na obrzeżu miasta duże parki. Łódź nie ma wyraźnie wykształconych dzielnic przemysłowych, zakłady rozrzucone są po całym mieście, niejednokrotnie wewnątrz gęstej zabudowy mieszkaniowej...”

Zacytowałem skrót VI tomu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Ten tom rozszedł się z księgarni przed nowym rokiem. Nie ma natomiast jeszcze w sprzedaży dzieła pt. „Studium Porównawcze miasta Łodzi”. Nie ma, ale powinno się ukazać w druku już w tym roku.

Pozwoliłem mi zajrzeć do rękopisu. Jest czymś niezwykłym. Labirynt liczb, porównań, wykresów i statystycznych tablic. To owoc benedyktyńskiego niemal trudu dużego grona najwytrawniejszych statystyków. Mogę zaręczyć, że lektura będzie pasjonująca. To dzieło daje klucz. Daje punkt odniesienia. Więc sporo też materiału do rozmyślań. Mało powiedzieć — Łódź się zmienia. A jeśli inne ośrodki zmieniają się jeszcze szybciej? Może Łódź zdobyła przez te lata kilka szanów, inne zaś miasta zdobyły kilkanaście? Czy aby Łódź nie zostaje w tyle w ogólnonarodowym wyścigu do mety?

Jak jest naprawdę? Zapraszam więc na niewielką wyprawę w krainę suchych liczb. Powiada się, że Łódź jest miastem kobiet. Czy słusznie? W 1960 roku na 100 mężczyzn przypadało w Warszawie 118 kobiet, w Krakowie 111, we Wrocławiu 106, w Poznaniu 113, w Łodzi zaś 119. Można by więc przypuszczać, że łodzianki, wykorzystując swą liczbową przewagę, przypuszczają do męskich serc szturm tak gwałtowny, iż w Urzędach Stanu Cywilnego potworzą się kolejki dłuższe niż w anegdotycznych już „Delikatessach”.

Czy rzeczywiście? Poniżej zamieszczona tabelka podaje ilość ślubów przypadająca na 1.000 mieszkańców:

Rok	Warszawa	Łódź	Wrocław	Poznań
1957	10,9	9,6	12,6	9,6
1963	7,3	6,4	9,6	7,1

Doprawdy jestem w kłopotcie. Jak skomentować te dane? Nikomu by chyba nie przyszło do głowy, że w mieście kobiet zawiera się mniej małżeństw niż w jakimkolwiek innym. Czyżby wszystkie te powiadzenia o przedsiębiorczości łódzkich kobiet, o ich energii, życiowym sprycie i zaradności były jeszcze jedną legendą? Mitem bez pokrycia? Sloganem ukutym przez chytrych mężczyzn ku pokrzepieniu dusz niewieścich?

Tyle o małżeństwach. A co z przyrostem naturalnym? Ten przyrost, w przeliczeniu na 1.000 mieszkańców kształtował się następująco:

Rok	Warszawa	Łódź	Wrocław	Poznań
1957	12,7	11,0	21,8	13,7
1963	3,5	2,8	9,7	5,5

Przyrost naturalny w Łodzi jest więc zastanawiająco niski. Inna sprawa, że niski przyrost naturalny ułatwia w sposób

Kapitały rozwiązywać kwestię najtrudniejszą — mieszkaniową. Wskaźnik zagęszczenia na jedną izbę spada wtedy niejako samoczynnie. Co wcale nie oznacza, że musi również spadać wskaźnik zagęszczenia w łódzkich sklepach. Niżej podana tabelka mówi o ilości mieszkańców przypadającej na jeden sklep handlu detalicznego w głównych miastach kraju:

Rok	Warszawa	Łódź	Kraków	Wrocław	Poznań
1957	133	167	160	157	139
1963	160	182	156	178	165

Z wyjątkiem Krakowa położenie wszędzie jest gorsze. Najgorzej jest jednak w Łodzi. Brak sklepu podobnie jak brak towaru powoduje skutek ten sam. Tasiemcowe kolejki, których wszyscy mamy już po same uszy.

Poniżej dane odnoszą się do sprzedaży detalicznej na jednego mieszkańca. Są wyrażone w złotych:

Rok	Warszawa	Łódź	Kraków	Wrocław	Poznań
1960	9496	6545	9304	7996	8557
1962	11023	7339	9984	10213	9594

Sklepów mało, obroty w nich też niskie. Dużo niższe niż w innych miastach, nawet tych mniej uprzemysłowionych. A fakty są agresywne, nawet jeśli są smutne. Egzorcyzmami ich nie przepędzisz. Już tak bywa, że przyczyną i skutki chodzą w ekonomiczne bliskie obok siebie. Łódź to przede wszystkim przemysł lekki. We włócznie zarabia się, niestety, mniej niż u „Cegielskiego”. Ciąg dalszy usług. Tym razem ilość mieszkańców przypadająca na 1 miejsce w zakładach gastronomicznych:

Rok	Warszawa	Łódź	Kraków	Wrocław	Poznań
1957	43	83	35	54	40
1963	35	60	32	49	33

A więc to tak? Owszem, jeszcze jeden łódzki rekord. Niektórzy twierdzą, że to również rekord europejski, który żadne miasto wielkości Łodzi nie pobije już chyba nigdy. Denerwujące to wszystko. Dziwić się potem, że piewosze obstawiają uliczne kioski, tworząc ów przedziwny pejzaż uliczny Łodzi z połowy XX wieku?

Każdy kij ma dwa końce. Przeglęty, lubi trząsnąć. Można oczywiście pod szeroko rozwiniętym sztandarem walki z piewosami zamknąć w ogóle wszystkie restauracje i wszystkie piwiarnie. Można też wywindować ceny na alkohol na „światowy” poziom. Tylko, że skutki takich zabiegów są odwrotne od zamierzonych. Ponoć najwięcej tajnych wyszynków, różnych spelun i melin znajduje się w Łodzi. Dostaniesz w nich wszystko. Wyborową i krakowską. Dostaniesz bez kolejki.

Może łodzianie to jednak urodzeni utracjusze, dla dobra których trzeba było zlikwidować wszystkie te małe jadłodajnie, od których niegdyś roiło się na każdej ulicy? Więc jeszcze jedna tabelka. Obrazuje wysokość obrotów zakładów gastronomicznych w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Te obroty są wyrażone w złotych:

Rok	Warszawa	Łódź	Kraków	Wrocław	Poznań
1960	877	346	852	601	842
1963	1001	476	1038	811	1002

Więc nie ma absolutnie żadnych powodów, by rozdzierać szaty nad rzekomy upadkiem w mieście Łodzi dobrych obyczajów. Ludzie tu w miarę rozsądni. Nie szastają groszem w knajpach — jak to się niekiedy przypuszcza. Żyją w mieście z natury oszczędnym, choć niezwykle bogatym w sensie przemysłowym. Na horyzoncie Łodzi już z daleka majaczy las kominów — jak owe smukłe, gotyckie wieżycy w średniowiecznym grodzie. Łódź, to nieprzebrane bogactwo. Nieprawdopodobne skupisko największej ilości największych fabryk w kraju. Czy teza jest słuszną? Czy może ryzykowną? Nawet przebrzmiała? Bez skali porównań nikt na to pytanie dziś nie odpowie. Więc jaka jest wartość majątku, to jest środków trwałych w przeliczeniu na jednego mieszkańca w największych miastach Polski?

Dane, które poniżej przytaczam obliczone są w złotych i odnoszą się do 1961 roku:

	Budynki	Maszyny	Środki transportowe
Polska	43.435	8.194	4.138
Warszawa	59.472	11.225	5.463
Łódź	45.498	14.862	2.068
Kraków	52.393	20.819	3.998
Wrocław	61.698	12.013	4.970

Łódź ma najgorszy transport i najbardziej tandetne budynki. Wiemy o tym sami. Z tabelki wynika rzecz jeszcze jedna. W pewnej mierze zaskakująca. Kraków przeciągnął Łódź wartością sprzętu przemysłowego. Któż by się tego spodziewał 20 lat temu? Ano, pora pogodzić się z tym, że do Łodzi już dawno przestały prowadzić wszystkie drogi. W wielu innych miastach przemysł rozwija się szybciej. Jest to przemysł oparty o współczesną technikę. Więc kosztowny, cenny, częstokroć dewizowy. Dlatego sądzę, że tabelka jest ujętym w cyfry streszczeniem dziełowej Łodzi. Jest też punktem wyjścia do jakichkolwiek rozważań o przyszłości miasta.

Jaka jest więc wysokość bieżących nakładów inwestycyjnych na jednego mieszkańca w przeliczeniu na złotówki?

Rok	Warszawa	Łódź	Kraków	Poznań	Wrocław
1957	5584	2742	3092	2429	1829
1963	6260	4302	8776	3975	3557

Nie jest najgorzej. Trzeba jednak uwzględnić przy tym pewną poprawkę. Istotny jest trend. Albo inaczej ekspansja geograficzna nakładów inwestycyjnych. Bo tempo wzrostu w latach 1957—1963 jest wyraźnie zróżnicowane. I to na niekorzyść Łodzi. Otóż inwestycje we Wrocławiu wzrosły w tych latach o 194 procent, w Poznaniu o 283 procent, w Łodzi o 156 procent. Łódź traci więc z wolna grunt. Czyżby gdzieś tam, na jakimś szczeblu zatrabiono na odwrot? Nie wiem. To dylemat nie na pióro jednego publicysty. Inna sprawa, że był okres kiedy Łodzi chciano w ogóle dać emeryturę. A co z budownictwem mieszkaniowym. Nie pod kątem ilości, lecz pod kątem wygody, więc pod kątem wielkości nowych mieszkań? Jaka jest przeciętna wielkość jednego mieszkania w blokach oddanych do użytku nad Wisłą, Łódzką, Wartą i Odra? Liczby oznaczają metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej.

Rok	Warszawa	Łódź	Wrocław	Poznań
1957	47,5	48,6	43,8	50,7
1963	42,2	44,1	45,5	50,0

Te same dane, ale w odniesieniu do budowanych po wojnie domków jednorodzinnych:

Rok	Warszawa	Łódź	Wrocław	Poznań
1957	67,8	64,2	79,7	70,7
1963	83,7	75,9	80,8	91,7

Oj ci poznaniacy. Mają charakter, nie ma co. „Porządek musi być”. Kobieta musi mieć wygodę w kuchni. Pan domu musi mieć gdzie wyciągnąć nogi po pracy. W Poznaniu, jak się zdaje, nikt specjalnie się nie martwi oszczędnościowym reżimem. Jak on to robią? Po poznańsku. Po swojemu. Warszawa dla nich, to żaden wzór do naśladowania. Pewnie, że poznańskie gospodynie domowe mają swoje racje. Swoje racje ma też Łódź. Chce budować dużo. Więc musi budować izby o miniaturowym przekroju. A tu jak na złość rośnie nam pokolenie dryblasów. Pokazywano mi młodzieniaszka, który w nowym mieszkaniu na Dąbrowie sięgał czupryną sufitu i żadną miarą nie mógł się dostać do łazienki.

Można oczywiście udać, że się niczego nie dostrzegła. Można chodzić po mieście ze spuszczonej głową i nie patrzeć w niebo. To niebo jest nad Łodzią puste. Już od lat. Martwe niebo nad 700-tysięcznym miastem o potężnym przemysle. Jeśli się nie myli, to miasta tej wielkości — bez lotniska — trudno już dziś znaleźć w świecie. Czemu akurat Łodzi dano tę palmę do ręki. Dlaczego?

Pamiętajmy. Łódź przez cały wiek była toczona od wewnątrz. Rynsztokami i fabrycznym dymem. Była też żerana pogardą. Tym, że władali nią obcy, którzy o to miasto nie dbali. Niemiec siedział na stole w fabryce. Był zajęty robieniem rubli. Ten czynownik siedział w urzędzie i był zajęty robieniem jeszcze jednego „czynu”. Więc wdrapywaniem o szczebel na urzędniczej drabinie. Stała się rzecz zastanawiająca. Duże miasto przez kilka pokoleń wiodło małe życie. Nigdy nie pobydło się uczucia, że carat był swym bezbożostwem — brakiem poczucia jadu, takiego, jakiego, na obliczu Łodzi, że trzeba będzie jeszcze jednego pokolenia, by je wymazał raz na zawsze.

No i co z tego?

Nie jesteśmy przecież u kresu drogi, jesteśmy na jej początku.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## PIĄTKA Z PLACU HALLERA



dur ominał — nawet zwoju wykonać nie musiał, nogę prawą miał nieco za krótką. Siwy tylko i Gabryś do wojska trafił. Najpierw Siwy, potem Gabryś. Akurat jak Siwy wracał do cywila, Gabryśowi przyszło zdjąć samodziół, szalik żółty, tandetny, w wielki kratowatypek pod szyją wiazany, i buty z nóżek brązowe na grubasnej zeliwicie z kauczuku. Ech, witali i żegnali ich koledzy. Bolo, Cykota i Zaksia. Smutek wówczas spłatał się z radością, aż dzielnica cała drżała. Z pierwszym pili witalnego, bucznie, wesolo, z drugim — strzemiennego, wino z łzami mieszącym... — Na przysięgę przyjeździemy! — pocieszał markotnego rekruta. — Nie pekał! Kiedy Gabryś wrócił z wojska — znów się radość ze smutkiem spotkała, bo to Siwek poszedł właśnie siedzieć. Za pobicie. Kiedy Siwy wracał z kryminatu — minął się po drodze z Zaksią i Cykotą, za pobicie do więzienia dratowali. Za pobicie. Później znowu byli razem w komplecie. Bolo, Zaksia. Gabryś cieniem zakapiorny, bo o wojsku już zdążył zapomnieć. Cykota co to łeb miał najtępszy, no i Siwy — recydywa, pan nad panem...

2.

Dziesięć lat temu to było. Dziesięć lat temu. Dziesięć lat temu, na Polesiu, wszyscy znali bandę Siwka — pięciu tegich chłopów co się zowie. Na Zakatnej brylowali, u wylotu Zielonej na pole, znała ich Towarowa, Lipowa i Żeligowskiego, a już najbardziej chyba — Plac 9 Maja — placem Hallera przez starszyzną zwanym...

Tutaj Siwy grywał w karty siadając w kucki pod drzewem; nóż fiński wbił w czarna ziemię, żeby powagi nadać rozgrywece i partnerów ostrzeż przed próbami szachrajstwa.

Bolo tutaj piłkę ze szczawikami kopał haracz mu płacił za użytkowanie boiska, czasem rewidował im kieszenie i pieniądze ceniował na wino.

▲ Cykota, co to łeb miał najtępszy, wódkę tutaj wypijał o zakład, całą półlitrowkę w dwie minuty...

Bo to ich przecież plac. Ich królestwo. Tutaj wszystko im wolno.

Więc bit Gabryś zakapiorny swoich wrogów, jeśli akurat w więzieniu nie siedział — pierzchała przed nim młodzież i starszyzna, własny brat go omijał z daleka. Więc Zaksia, co to prawa nogę miał krótszą, ganiał po placu dziewczyny, i do więzienia poszedł przez dziewczynę, której krzywdę wielką zrobił...

— Nie już z nich nie wyrosnie — szeptały struchlałe sasiadki, i wspominały starego Bugzela, który wulkiem był Bolo, i nieboszczyka Bombaja — ojca Siwka, i zwyrodniałą matkę Zaksia. — Jaki pan taki kram — dorzucali meżowie sasiadek. Szubieniec Cykocie wróżyli, stryczek Gabryśowi...

Z całej piątki pracował tylko Zaksia, tu miesiąc, tam dwa miesiące, tam znów cztery; w końcu zaw sze go zwalniali: tu za kradzież kurki stębnowanej, tam za bumelantwo, tam znów za ciągle opilstwo. Tu pracował jako pomocnik portiera, tam jako roznosiciel mleka, tam znów niby murarz na budowie.

Zaksia matkę starą miał na utrzymaniu, ale tak po prawdzie — z łaski kumoszek żyła, bo on skraplał zarobione grosze, w parę godzin po każdej wypłacie w cierpki strumień się zmieniały, usta Siwek i Bolo nadstawiali, i Gabryś, a już najwięcej, to Cykota...

— Gdy ci woda w pracy szkodzi, to rzuć pracę, o co chodzi! — pouczał Zaksie koledzy.

— Ja tam nigdy do roboty nie pójde! — mówił Gabryś.

— Masz rację — chwalił kumpia Cykota. — Robotą to sport dla głupich.

Siwy w czasie takich rozmów milczał. Dla niego sprawa była oczywista, niegodna dyskusji. Bolo natomiast dorzucal trzy grosze: — Człowiek mądry zawsze na kieszleczkę chleba skompinuje, nie ma to tamto!

I rzeczywiście — tu koszyk jabłek, tam wiązka kabla, tu metr węgla, tam zegarek, tu rzemyczek, tam koniczek, i czas plynął, między złotą wolnością a pięziennym lo-

## Na południe od 17 równoleżnika

Francuski dziennikarz Sandre Gramont przebywał przez kilka tygodni w południowym Wietnamie. Oto jego relacja z pobytu w tej części kraju:

Przekonałem się naocznie, że pld. Wietnam to nie terytorium rządzone przez Saigon, ale strefa, której losy nie rozstrzygnęły się jeszcze — wystarczy zresztą spojrzeć na mapy wojskowe. Przez blisko miesiąc obracałem się w górzystych okolicach Sajgonu — chciałem spotkać francuskich misjonarzy, ale większość z nich opuściła wioski, nekane bombami amerykańskimi, przenosząc się z mieszkaniem w głąb dżungli. Ojciec Blanc pozostał. Jest to człowiek niezwykle popularny, jego biała broda i mały Citroen znają w całej prowincji. Ta popularność pozwoliła mu uniknąć śmierci. Przed wjechaniem na minę uchronił go w ostatniej chwili partyzant, który rozpoznał misjonarza.

Zołnierze Frontu Wyzwolenia południowego Wietnamu wykazują genialne zdolności organizacyjne.

Ojciec Leon Dujon — został wzięty do niewoli przez żołnierzy Frontu Wyzwolenia. W niewoli przebywał sześć miesięcy, z dala od wioski Dok Sut, gdzie pracował jako misjonarz.

„Jak zdobędziemy Dok Sut, będzie wolny. Tutaj wśród nas jest Ojciec bezpłeczy”. O Dujon miał możliwość obserwować jak przygotowywano się do zdobycia Dok Sut. Zbudowano specjalny model wioski, który żołnierze musieli poznać dokładnie. Każdy żołnierz musiał znać na pamięć miejsce, jakie miał atakować. Plan naturalnie przewidywał ewentualne zmiany podczas samej akcji. Z kolei przystąpiono do zbiorowych ćwiczeń — wciągnięcia na model, dokonano dziesiątki ataków, podczas których żołnierze uderzając w menażki naśladowali wzajemne bitwy. W ten sposób osiągnięto niesłychaną synchronizację działań, a kiedy wioska została zaatakowana, zdobyto ją w ciągu pół godziny. W parę dni potem O. Dujon powrócił do Dok Sut. Wywołujący się partyzanci oświadczyli: — „Teraz



to jest znów „ich” teren i nie możemy dłużej gwarantować Ojcu bezpieczeństwa”.

Żołnierze Frontu Wyzwolenia potrafią przystosować się do niesłychanie trudnych warunków życia w dżungli pełnej jadowitych węży, skorupionów, pijawek, komarów szeregających malarię. Budują rozległą sieć podziemnych schronów, tuneli przypominających ka'akumbys, gdzie gromadzą broń i żywność, w gąszczu znaczą drzewa, aby odnaleźć drogę powrotu.

Front Wyzwolenia ma dobrze zorganizowaną służbę sanitarną. W szpitalach ukrytych w dżungli lekarze przygotowują leki z sobie tylko znanych roślin, przy pomocy lodgry bananowców unieruchamiają złamane kończyny, a mlekiem orzechów kokosowych leczą ropiejące rany. Stal i

aluminium ze straconych samolotów to materiał, z którego powstają narzędzia chirurgiczne, a szczeniaki przeliczają wagi, otrzymując się hodując bawoły indyjskie. Zamiast gliceryny rozpuszczalnikiem jest miód dzikich pszczoł.

Tajna radiostacja, gdzie w prowincji Tay Ninh, nadaje codzienny program. Do tej radiostacji w głąb dżungli, przeniesiono tonowy generator elektryczny. Codziennie pismo Gia Phong Wiet Nam (Długie lata dla Wietnamu) powstaje na ręcznej drukarni podziemnej, do zbudowania której użyto metalu ze zburzonych mostów i wykolejonych pociągów. Papieru nigdy nie brakło — 45 kg bele przesyłały się do dżungli na plecach. Dzienny nakład piśmie — 5000 egzemplarzy!

Front Wyzwolenia Narodowego organizuje okresowe zebrania trwające 2 do 3 dni. Srodkami ostrożności zostały opracowane niezwykle starannie. Ostatnio zjazd Frontu Wyzwolenia odbył się w lutym 1964 roku, w rejonie Tay Ninh. Delegaci w liczbie kilkuset rozchodzą się na noc do okolicznych wiosek. O

świecie wyruszają na miejsce zbiórki wskazane w ostatniej chwili. Tutaj czeka już specjalny wysłannik i prowadzi na miejsce obrad, inne każdego dnia. Jeśli zdarzy się, że kogoś brakuje — zebranie natychmiast zostaje odwołane. Kiedyś agentowi rządu sajskiego udało się przedostać na takie zebranie. Dysponując radiostacją nadał on komunikat wskazujący miejsce obrad. Natychmiast wystartowała eskadra Ban-

gersów. Ich akcje udaremniły jednak sygnał nadany przez samolot rozpoznawczy armii Frontu Wyzwolenia. Delegaci mieli czas schronić się w podziemnych tunelach.

Wilfred Burchett — australijski dziennikarz — twierdzi, że najgorsze chwile w jego życiu to te, które przeżył w schronie podziemnym w wietnamskiej dżungli.

„Z ogromnym trudem dostałem się do wnętrza — nie mogłem zupełnie oddychać. W tunelu było nas czterech... dusiliśmy się. Chciałem wydstać się na zewnątrz, ale to równałoby się śmierci. Na wpuł żywy czekałem, ale wojska rządowe nie odkryły nas”.

Sandre de Gramont wspomina również plantatora gumy Jean Paoli, którego ziemia znajduje się na terenie w zasadzie niczym. Ludzie pracujący na plantacji zamieszkuje wioski rozrzucone w promieniu kilkunastu kilometrów. Pablo objeżdża je w dniu wyplat. — „W takim to dniu zabrał mnie ze sobą — pisze Gramont. — Przy moście Paolo zatrzymał wóz i dał sygnał klaksonem. W mgnieniu oka wyrosło spod ziemi sześciu uzbrojonych ludzi. Partyzanci przynieśli torby z pieniędzmi do stojącego za mostem Jeep'a i ruszono w dalszą drogę. W wiosce oczekiwali nas zebrani robotnicy. I wtedy Paolo wyjął mi, że jedna trzecia robotników to partyzanci, którym płacił wg stawek ustalonych z dowództwem Frontu Wyzwolenia”.

Przebywając w Wietnamie Amerykanie przyznają, że żołnierze Vietcongu — jak nazywają Front Narodowo-Wyzwoleniowy południowego Wietnamu — są niezwykle odważni, ale ich taktyka wojskowa nie uległa zmianie od czasu wojny z Francją w Indochinach, choć metody walki partyzanckiej zostały znacznie udoskonalone.

Żołnierze ci wierzą mocno w swoje zwycięstwo. Ta wojna — ich zdaniem — to starcie dwóch ideologii — zachodniej, niezdolnej już do poświęceń i wschodniej, cierpliwie, niezwykle ofiarnej. Sandre de Gramont miał okazję rozmawiać w Kambodży z rzecznikiem armii Wyzwoleniowej, który stwierdził: — „W r. 1963 mieliśmy przeciw sobie kompanie, w 1964 r. — bataliony, w 1965 r. — walczą z nami całe dywizje. Amerykanie nie wierzyli, że i my potrafimy wystawić dywizje. Właśnie je organizujemy i wciąż jesteśmy w ofensywie. Ostatecznie zwycięstwo — to tylko kwestia czasu!”.

oprac. M. TYMOWSKA

## PIERWSZY W ŁODZI — DRUGI W POLSCE

Dalszy ciąg ze str. 3

szkodowanym przez najnowszą historię osiedlu piękne liceum ogólnokształcące.

Przedostatnia tablica dokonuje syntezy przestrzennej i strukturalnej zatrudnienia w przemyśle. Zamiast nie przemawiających do wyobraźni szeregów liczbowych kilka rysunków dobitnie wskazuje na zalety i wady naszego przemysłu, na konieczność poważnej jego rekonstrukcji galaziowej.

Zespół map zamyka wizja rozwoju gospodarki do 1980 r. Można się z nią zgodzić, lub nie, niemniej jednak należy ją traktować jako jedną z alternatyw, mająca te zalety, że zmierza do poprawy wadliwej dotychczas struktury rozmieszczenia zakładów przemysłowych.

Jeśli już dojrzałeś do końca, Cierpliwy i Miły Czytelniku, to pozwól się jeszcze przeprosić za tyle słów o Atlasie nie liczącym nawet 30 stron. Nie moją w tym winą — lecz Autora. To On potrafił w tak krótkim opracowaniu zamknąć tyle treści. To co ułomnie tutaj napisałem jest tylko pierwszym refleksem przy nieco tylko najważniejszym przewracaniu kartek. Spróbuj sam „pokartkować” w Atlasie, a przekonasz się, że niedzielne popołudnie zleci Ci szybciej niż przy telewizorze.

T. OLSZEWSKI

P.S. Jeden mam i to bardzo duży żal, choć nie wiem, do kogo mam go kierować. Dlaczego tak pożyteczna i piękna publikacja na końcu stronie okładki nosi nadruk prohibicyjnej ceny 70 zł? Przecież dla większości potencjalnych odbiorców Atlasu możliwość zajrzenia do niego rozpoczyna się właśnie od trudnej do podjęcia decyzji wydatkowania tych właśnie siedmiu dziesiątek. Czyżby ten koleś miał podkreślić pienio róży? Jestem przekonany, że bez cienia byłaby jeszcze wspanialsza i cieszyłaby pragnących wiedzy zarówno w gabinecie jak i pod strzechą.

chem — bójkami, kradzieżami i kieszonkami chleba odmierzany. I lata leciały!

Ale wielka pustynia (plac Siwego, czyli 9 Maja, albo inaczej, jak starzy mówili: plac Hallera) — zmieniać się zaczęła z wolna. Kiedyś chwastami porosta, trawa szorstka i suchymi krzewami, miałkiem piachem przysypana gdzieś tam, tu i ówdzie — zwirom czarnym cuchnącym — stała się nagle terenem ogrodzonym przez zaskie kołczaste go drutu. Fundamenty jakiegoś powstawały. Wreszcie... strzelił w niebo dom wysoki, o szerokie oknach, z przestronnymi balkonami; po nim przyszedł dom drugi i trzeci.

3.

I dzielnica powstawała, z trawy szorstkiej i czarnego żwiru. Grunt uciekał ferajnie spod nóg, Siwy krzyczał: „Pole mi zabrali!”.

— Trzeba strząsać robotników — rzucił projekt Gabrys zakapiorny.

Ale robotników było dużo — choć dy rosły i odważne; tak pogнали włóczyki, że aż Gabrys kapię zgnębił, a Zaksia kulawy chorą nogę do reszty wykreślił.

Biegły miesiące i lata, domów ciągle przybywało, nowe uliczki między nimi, nowe sklepy, skwerki i podcienia, wreszcie nowe tory tramwajowe, po których „siódemka” jeździć w głąb Polesia zaczęła, na przecznicach młodych dzwoniąc.

4.

Anno Domini 1966.

Kłóż to tak dostojnie spaceruje, z kobietą pod pachą, poły płaszcza modnego dumnym krokiem rozgarniając.

To czelodny obywatel, Zenon W., na niedzielna przechadzki wyszedł z żoną.

Zenon W. ma w tej chwili trzydzieści dwa lata. Pracuje jako spawacz w wielkim zakładzie przemysłowym. Jego żona jest wiołniczką. Zarabiała łażnie 4 tys. złotych, na wysokim piętrowym w blokach mieszka, i brzdąca holubią

małego, co już chodzić zaczyna, pokrzykiwać: mama, tata.

Dumny jest pan Zenon ze swojego syna.

— Roku jeszcze nie ma — powiada — a duży, jak niejeden przedszkolak.

— No, przesadza może trochę, ale dziecko, faktycznie udane — zdrowe widać, z kolorkami, odżywione jak się patrzy!

— Mój syn będzie inżynierem — decyduje już teraz pan Zenon.

— Albo lekarzem — żona wpada mu w zdanie.

Zenon na to groźnie się marszczy, pięścią ciężką wali w stół!

— Już ty się, Jadziu, nie wtrącaj! — powiada. — Do techniki ludzi teraz trzeba. Inżynierem będziecie, — Potem widząc, że małżonka przykro, pojednawczo dodaje: — Przecież ja mu źle nie życzę. To mój syn.

Taki właśnie jest Zenon W. — impulsywny, krzyknąc czasem potrafi, ale mityguje się szybko, aby żony nie obrazić. I ambitny! Z chłopaka inżyniera chce zrobić. To jego cel. Nieraz powiada:

— Gdybym ja się wcześniej tropnął, też bym został jakim inżynierem czy doktorem, ale co... ojca oliwę miałem, zamiast do szkoły po wódkę mnie posyłał i tuż mi mnie czym popadło kiedy trzeźwia! Do wzięcia paczki mu nośsiem, a on listy pisał: „Synu, ty mi chlebka nie przysyła, jancie się pić chce...” A kiedy ojciec umarł, żyłem tak jak on, matkę własną po gorzałkę gonilem... Stare to czasy, ale zawsze myśleć przykro. U nas tam, zresztą, na Polesiu, wiele takich ojców było i matki, i takich chłopaków jak ja, co do szkoły raz na tydzień chodzili, żeby wino w przerwie wypić, fajkę spalić i z nauczyciela stroić zgrzywę.

Domyślać się zapewne kim był Zenon W. przed laty? No, pewnie! Ale chciałem was ostrzec! On nie lubi, gdy się tak na niego mówi! — Co za Siwy, jaki Siwy! — warczy wtedy przez zęby. — Zaden Siwy!

5.

Janusza Z. vel Bolo z bandy Siwego odnalazłem w warszacie samochodowym. Pracuje tu już cztery lata; po południu do szkoły chodzi, grzechy dzieciństwa wymazując...

— Wszystko zaczęło się od Siwka — mówi Janusz. — Pewnie dlatego, że najstarszy był... Jak na placu 9 Maja domy powstawały, zeszliśmy się z początki wściekali, ale naraz Siwy się zapatrzył... Sledzimy u niego — Zaksia, Gabrys i Cykota w chatce na trzeciaku, a tu Siwek się rozmazał nagle... W takim bloku, powiada, pokoje piękne, kran, kurki, kuchnia z kafelkami, kaloryfer...

„To kup se takie” — przycał mu Cykota.

„A co myślisz — Siwek powiada — że nie kupię?”

Chodził już wtedy z Jadźką i ona mu w głowę kładła, że mieszkanie w blokach może zdobyć każdy, że trzeba tylko do pracy iść, wniosek odpowiedni złożyć, do spółdzielni się zapisać i poczekać dwa-trzy lata.

I zaczarowała go kobieta. Nie ma co. Za robotę się chwycił, pokaowską na poczcie otworzył, i po roku nawet z nami gadać nie chciał. W czterech zostaliśmy, a gdy Zaksia matka umarła i do Wrocławia wyjechał, żeby robić u wuja w zakładzie stolarskim — to zostaliśmy w trzech.

Tak mówił Janusz Z. vel Bolo z bandy Siwka. W warszacie teraz pracuje, matce starej pomaga, wieczorami do technikum chodzi, i gdy w uporze świętym wytrwa, zadziwi cały świat maturą.

6.

Pole to przypomina stary plac Hallera u początków nowej ery. Ogrodzone miejscami parkanem z desek — miejscami dziką trawą porośniętą bezpiecznym pastwiskiem. Za parkanem ciężka praca — ruch, harmider, wozy pełne pia-

chu i cegieł, dźwigi i koparki. I pot ludzki osiadły na czole.

Wszedłem tam przez portiernię.

— Z prasy — powiedziałem. — Z prasy...

Więc zjawił się majster i od razu zaczął, co i jak, że to ciężka ma robotę...

— Mnie chodzi o Gabryś — powiedziałem.

— III — zdziwił się majster, rozczarował. Potem nie wytrzymał — Tyle tu innych, dobrych chłopów na budowie.

— Ale Gabrys też dobry?

— No, też...

— Nie opuszcza pracy?

— Nie opuszcza.

— W robocie nie pije?

— Nie pije.

— Premię za ostatni kwartał dostał?

— Dostał...

— No, to pokaż pan Gabryś — poprosiłem.

I zjawił się Gabrys. Ale nie szła nam rozmowa. Dopiero wieczorem, przy kawie, opowiedział wszystko po kolei...

— Najprzód odszedł Siwy. Jadźka go zaczarowała mieszkaniem. Potem Zaksia matka zmarła i wyjechał do Wrocławia. Zostaliśmy w trzech, z Bolem i Cykotą. To było pięć lat temu. Zylisimy dalej po staremu — jakiś interes na boku, fiaska, awantury... Bolo mieszkał z matką i młodszym bratem. Ten brat pracował na wszystkich. Mizerota był, chudziła, ale pracował. Jako goniec. Zimą w podartych butach biegali bez palta, w szalik tylko. Gdyby nie ten brat — oni chyba by umarli z głodu, a tu jeszcze Bolo częściej wyplaty mu zabierał co miesiąc, żeby z nami wypić fiaskę.

Pięć lat temu to było. Zimą. Bolo kiedyś do mnie przychodził i zaczynał tuc głowa o ścianę.

„Józek!” — krzyczał — Mój Józek! Moja bratucha kochana! Jezu kochany! Józek, Józek!”

Mnie też się plakać chciało. To był miły chłonek, ten Józek. Dziewiętnaście lat liczył, gdy umarł. Serce zawsze miał słabe — może dlatego nie pił z nami i nie kopał piłki. Ale i tak...

W Bole odąd coś nekło. W kółko mówił, że to chyba przez niego...

„No, powiedz sam, Gabrys, powiedz sam?” — pytał.

„Nie, Bolo” — mówiłem.

Ale tak naprawdę — nie wiedziałem jeszcze, jak to było.

Potem Bolo do pracy poszedł i do szkoły.

Zostaliśmy z Cykotą we dwóch.

7.

— A potem Cykoty nie stało — mówił dalej Gabrys, cierpka kawę popijając w kawiarce. — Ech, wymyślił się przed śmiercią bidoła. Wtrobę z niego wypruli jak bochen chleba. Doktor, co mu robił sekcję, powiada, że czegoś takiego jeszcze nigdy nie widział. Żeby wszystkim alkoholikom to pokazać...

Za pogrzebem kumpla z tyłu szedłem; matki Cykoty się bałem, kumoszek się bałem, całego świata się bałem i smutno mnie było, że już całkiem został sam. Czasem myślałem, że gdyby Cykota nie umarł, też by dzisiaj żył jak człowiek. Może kierowca był, nerw do motoryzacji miał duży... Może by do szkoły poszedł i maturę nawet zrobił...

Myśmy szczęścia w dzieciństwie nie znali. Iu nas było, pieciu, każdy ojca miał oliwę, każdy był spóźniony w nauczaniu o trzy, cztery lata, przez wojnę; każdy w wilgotnej norze mieszkał z matką, z „wujem”, albo z bratem, ale tylko Bolo brat, Józek, ten co umarł, od małżeństwa był błądy, wódki nie pił, nie kradł i pracował.

\* \* \*

Nie ma bandy Siwka na łódzkim Polesiu. Legenda tylko została. Nie ma też placu starego, szorstka trawa i chwastami porośnięty.

Janusz Z. vel Bolo z bandy Siwka na Bałutach pracuje w warszacie, Zaksia? — ten z Wrocławia listy ciote pisze, żeni się niedługo będzie, zakapiorny Gabrys jest murarzem, Zenon W. vel Siwy — snawacem. Cykota, co to łeb miał najtęższy, półlitrowkę w try miga obciążał — legł na polu chwały.

# MORAK ZNAD JEZIORA

Zauważył, że rozglądaliśmy się za czwartym do brydża, więc nieśpiesznie podszedł, zapytując:

— Tęskno do roberków?  
— Od razu poznać, żeś pan inteligentny!  
— Szeplieta jestem! — oświadczył głośno, jakby czegoś po tym oświadczeniu od nas się spodziewając.

Wymieniliśmy, skromnie mamrocząc, swoje nazwiska. Usadowił się na krzeselku, stojącym na samym skraju cementowej terasy turystycznego baru. Terasę leniwie obliźwały fale jeziora, w którym przegłądały się sosny i, oczywiście, stuletnie dęby.

— Pustawo tu na razie... — zauważył Szeplieta, szczerzy blondyn w zamkowej kurtce, w okoblasytach okularach na podłużnej twardzi.

— Jeszcze nie sezon — przypominałem. — Najprzyjemniejsza pora.

— Ale Szeplieta lubi, żeby było gwarno. Jak w kawiarni.

— Pan chyba z Warszawy? — udał zainteresowanie prezes Wiśniewski.

— Przecież dwukrotnie powiedział się, że jest się Szeplieta!

— A jakim systemem pan grasz? — zaintrygował naczelnik Pawelczak.

— Lubię mieć dobre karty! — zaśmiał się Szeplieta. — Gram bez systemu...

Spojrzelśmy na niego ze zgorzaniem, ale coś było robić: nie mieliśmy nikogo innego.

Szeplieta grał nie tylko bez systemu, ale i źle. Za ostro licytował, za często kontrolował. Karty, która jest jedną zależą patachów, też jakoś nie miewał. Może w stolicy ją otrzymywał, ale tutaj nie, więc nie tailiśmy swojego niezadowolenia w sposób właściwy nieskomplikowanym naturom z głuchej prowincji.

Blondyn wreszcie wściekł się:

— Panowie, radzę uważać! Mnie w stolicy szanują aktorzy i pisarze. W ogóle, ludzie sztuki.

— Za rozgrywkę?

— Opiniuje... To ode mnie zależy, czy... Szeplieta nie dokończył zdania, gdyż prezes Wiśniewski, który przed chwilą skontrolował moje cztery bez at, zdenerwował się jak we własnym biurze:

— W piłki trzeba było wyjść, jęłopie brydżowy!

Szeplieta demonstracyjnie rzucił karty na stół i udał się do swojego pokoju.

W rezultacie byliśmy źli na Wiśniewskiego, że pozbawił nas, mimo wszystko, partnera.

Była tu jeszcze jakaś obywatelka, ale z córeczką i radem na tranzystorach. Córeczkę miała za młodą, a sama była za starą, nie braliśmy więc tej obecności pod uwagę.

Pod wieczór pojechaliśmy kajakami do przeciwnego brzegu, nad którym drzemały odwieczne lasy. Aby zatrzeć wrażenie, wywołane niemilą scysją, zabraliśmy ze sobą i Szeplieta. Zdało się, że tego nie docenił, choć i wiosłował nie najlepiej.

— Pan pierwszy raz na jeziorze? — cierpko zapytał naczelnik Pawelczak.

— Może i pierwszy... Chciałem poznać rytm życia na prowincji...

— I jakże wrażenia?

— Niewesołe... Dużo prymitywu... Nie czuje się tutaj szacunku dla ludzi...

— Tak źle to nie jest! — zaoponowałem. — Po prostu jesteśmy może bardziej bezpośrednio, życie tu trudniejsze...

— Nie, nie dam się przekonać... — upierał się Szeplieta.

— Wiosło do góry, gamoni! — krzyknął Pawelczak, gdyż Szeplieta omal nie zawadził nim o wysterczający z wody korzeń starej sosny.

Złożyliśmy wizytę gajowemu, żeby poinformować się odośnie myśliwskich możliwości. Napiliśmy się mleka z razowcem, chętnie poszczypując córkę gościnnego gospodarza, która w tej głuszy spragniona była uznania, a może tylko lubiła tradycyjne żarciki, nie zaprawione obłudną mieszczańskąością.

Nazajutrz poszliśmy z dubeltówkami ku leśnym zasiądom.

Potykając się, Szeplieta próbował mnie wybadać:

— To naprawdę, nikt z panów o mnie nie słyszał?

— Na to wygląda — odparłem lakonicznie, gdyż w lesie lubię milczenie.

— Dziwne... Bardzo to dziwne doznanie, że nagle jest się nieznanym, choć na popularność pracuje się całe życie!

— A o naczelniku Pawelczaku pan słyszał?

— Nie... — przyznał Szeplieta i dodał: — Ale przecież on prawie tutejszy.

— To może o Wiśniewskim pan słyszał?

— Nie...

— Dziwne... — zgorzyłem się, trochę to udując. — Myśm wszyscy tu słyszeli i o Pawelczaku i o Wiśniewskim... A i mnie też niektórzy tu znają! — pochwalilem się. — Nawet za dobrze!

Na polowaniu, niestety, Szeplieta także nie popisał się. Stojąc w krzaku czeremchy, która była w bieli, jak dziewczyna idąca do kościelnego ślubu, omal nie wygarnął strumem w Wiśniewskiego, przez co mógłby osierocić żonę i troje dzieci, bardzo dobrze uczących się w szkole.

— Prawdziwa Szeplieta! — zażartował, może zbyt dotkliwie, Pawelczak i odebrał dubeltówkę z rąk blondyna.

— Inaczej byś pan gadał, gdybyś był aktorem albo literatem... Albo gdybyś z tej racji chciał otrzymać mieszkanie! — wydukił z siebie Szeplieta, podniósł się na palcach, żeby dodać sobie wzrostu, i lakomym wzrokiem wpatrywał się w Pawelczaka. W tym spojrzaniu, w stężonym błękitcie oczu czaiła się jakaś, powiedziałbym, mściwa tęsknota, żeby Pawelczak, poczciwa dusza, był aktorem albo literatem, pragnącym w dodatku mieszkania.

Pawelczak tego widocznie nie dostrzegł, gdyż dobrodusznie przypominał:

— Ale ja, jak na złość, jestem naczelnikiem dużej spółdzielni. Mam, panoczku, cztery ciekawe piony...

Nie wytrzymał i Wiśniewski:

— Panie, po coś pan tu właściwie przyjechał?!

Szeplieta, otrzepując gałązka modne bućki z błota, powiedział w zamyśleniu:

— Sam się teraz nad tym zastanawiam... Może dla samoudręki? Bywają w życiu chwile, że najinteligentniejszy człowiek bałwanuje...

Uznaliśmy to za dobry dowcip i dlatego po południu znowu wzięliśmy Szeplieta na czwartego. Słońce chwilami grzało pracowicie, wszyscy łaziliśmy po terasie w kapielewkach, chociaż wiatr miewał ostre zrywy, fale pieniały się jak dobre piwo.

Szeplieta licytował zupełnie nieprzytomnie, chciał wygrać bez karty. Blokujące odzywki swoich partnerów traktował jako zaproszenie do wysokiej gry. Choć uwagi pod adresem jego umiętności były tym razem raczej dydaktyczne, Szeplieta ciągle się obrażał, narzekając, że nie umiemy rozdawać kart.

Zmuszony bez żadnego powodu do drugiej rozgrywki szlemikowej, a grywamy odpowiedzialnym szlemikiem, Pawelczak, poczciwa dusza, wreszcie nie wytrzymał. Odłożył karty, wstał i zakomenderował:

— Chłopcy, do wody z nim!

Nim Szeplieta uwierzył w nasz zamiar, przeczornie zdjeliśmy z jego nosa okulary, bo były dość drogie, chwyciliśmy go za ręce i nogi — Szeplieta jeszcze dzieciennie chichotał — rozhuśtaliśmy i rzuciliśmy na wodę. Pacnął o nią jak deska. Jaka szkoda, że nie mogli go widzieć owi stołeczni aktorzy czy tam pisarze. Sprawiliby im to, być może, pewne zadowolenie.

I od razu okazało się, że nasz partner nie umie właściwie pływać. Fałsetem, jak młodzieniaszek, zaczął wołać:

— Towarzysze, ratunku!

Krótko więc rechotaliśmy. Po pierwsze, odezwano się w nas partyjne sumienie, a po drugie, Szeplieta mógł przecież utonąć, a to nie byłoby żartem nawet na głębokiej prowincji. Rzuciliśmy w jego kierunku samochodową oponę z dętka.

Wyparskując z siebie wodę, ociekając nią jak szmata w ulewnym deszczu, trzymając się za brzuch, czerwony od płasniecia o wodę, syczał wyzwiskami. Drżał z zimna i syczał.

Nie odpowiadaliśmy, wystarczał nam sam widok Szepliety.

Pod wieczór jednak pogodiliśmy się, bućka bułgarskiego koniaku pomogła zrekonstruować porozumienie. I nawet graliśmy znowu w brydża, starając się popełnić błędy na jego korzyść. Szeplieta zaś pojeźnawczo żartował sam ze siebie, mimo iż wcale nie miał figlarnego błysku w oczach, były jakby urzędowe.

Nazajutrz nie ujrzeliśmy Szepliety na terasie, starannie przeszukaliśmy pobliskie krzaki, ale i tam go nie było. Jak się okazało, z pośpiechem, bez pożegnania, udał się do stacji kolejowej, aby wrócić tam, gdzie życie układało się według skali jego wartości.

Potem zaczęli przyjeżdżać czasowicze. Tych, co byli z Warszawy, pytaliśmy czy słyszeli coś o Szeplecie i było nam nawet przykro, gdyż wszyscy w odpowiedzi tylko wzruszali ramionami. Prezes Wiśniewski zaczął się nawet zgrywać. Pożyczał okulary i, naśladowując piskliwy głos Szepliety, mówił:

— To naprawdę nikt z panów o mnie nie słyszał? Czyżby nie było wśród was aktorów lub pisarzy? Aj, jaka zakazana prowincja!

Natomiast Pawelczak co jakiś czas namiętnie i Wiśniewskiego, żeby wrzucać go do wody. Udawał, iż nie umie pływać i wrzeszczał fałsetem:

— Ratunku, towarzysze!

Nowi dawali się na to nabrać, wskakiwali do wody, aby pomóc, więc było wesoło, oj, wesoło! Zwłaszcza gdy jeden z ratujących gorliwców, zapomniał, jak się okazało, iż nie umie pływać.

Po upływie miesiąca czy dwóch wypadły z naszej pamięci przygody z Szepletem. Przeszliśmy go wspominać nawet w czasie brydża.

Ale pod jesień cała nasza trójka zaczęły ścigać przykrości, których przyczyn nie umieliśmy sobie wytłumaczyć. Wszystko w zakresie swoich kompetencji wykonywaliśmy rzetelniej niż kiedykolwiek, a mamy przecież duży staż za sobą, jednak stolica nas się czepliła. Rewidenci wyjeżdżali od nas z nieczym, ale pismem otrzymywaliśmy przykre i krzywdzące. Czasem czuliśmy się wprost bezradni, chciało nam się kwilić jak ślepawym szczeniakom.

A potem, szukając tropów i wpadając w depresję, zaczęliśmy rzeczywiście popełniać błędy, gdyż byliśmy wytraceni z równowagi. Były to może małe błędy, trudno zainteresowanym o właściwą ocenę, ale pociągały za sobą surowe upomnienia.

Wreszcie Pawelczak, poczciwa dusza, teraz już nieco nadpęknięta, przygotował trochę replik i wałówek, postanowił pojechać do stolicy na zwiad, żeby się dowiedzieć, czy to aby nie Szeplieta zmienił dziedzinę swojej działalności?

Lecz dojechał nie zdążył, jakoś w połowie drogi otrzymał zwolnienie dyscyplinarne. Jeszcze zanim sprawa się wyjaśniła, postanowiliśmy nigdy za bardzo nie dokazywać na czasach, gdyż ludziom poważnym to nie przystoi. Jeśli komuś chce się figlować, to już lepiej pozwolili sobie na rozmaite niedokładności w wykonywaniu obowiązków. I zabawa bywa z tego, i czasem pewna korzyść materialna, i nikogo z zewnątrz to nie zdenerwuje!



Rys. Vasilij Kandinsky, Improvizacja 1910

GRZEGORZ T. KOŚCIŃSKI

## Z cyklu „Ogrody na ziemi“

*Tonący w srebrze rzek nie znają zapomnienia  
echo wody przenosi każdy strzęp ich myśli  
jej pamięć wierna rzeczom od których tu przyszedł  
i ich słowa ostatnie wieców rozpromienia  
srebro czule przeniesie załamania światła  
i ślad ich choć najmniejszy ożyje o zmierzchu  
i wszystko będzie świadczyc że nie była łatwa  
na brzegu srebrna tęsknota do śpiewu*

\* \* \*

*Najfrudniejszy jest okres dojrzewania drzewa  
wiedza powolna  
którą nabył musi  
by przekazywać w dalsze pokolenia*

*Gdy nakarmię korzenie pierwsze mocne soki  
drzewo gałęzią  
jak o łaskę prosi  
aż się w powietrzu wydrąży owoce*

*i poznaje po krokach urodzaj się zbliża  
pamięć rozdiera  
stare miękkie włókna  
i konary wytrzymać muszą ciężar świata*

HALINA

SOBCZAK-JARMOŁOWSKA

\* \* \*

*a jeśli przyjdiesz  
to strugą światła  
jeziorem w słońcu  
zza drzew  
plaż w samo południe  
może nie zdązę przymknąć oczu  
i już zostaną migotliwe  
radością karuzeli w letni dzień*

## Blisko wody i ziemi

*to co jest  
w chybotaniu łaszącej się do dna wody  
to co jest  
w spokojnym spadaniu ptaka  
niespełnionym pragnieniem  
bliskości ziemi  
pozostaje w rozbieganiu rąk i oczu*



Rys. Vasilij Kandinsky, Dezen 1912

# TEATR młodość AWANTURA

Teatr jest obecnie bardzo modnym tematem, więc (w myśl hasła: „Nie bojmy się mody”) skreślając kilka swobodnych uwag o niemrawych flirtach naszej młodzieży z Melpomeną. Trzeba się przyznać, że nie cieszy się ona zbyt wielką sympatią naszych nastolatków, w przeciwieństwie do filmu czy telewizji. Młodzież do teatru chodzi albo rzadko, albo wcale. (Nie jestem pewien czy bez oporów przebiegała akcja nabywania abonamentów na przedstawienia szkolne. Był czas, że gdy młodzież zasiadała na widowni i gąsły wszystkie światła, zaczynała się Sodomia i Gomora, nawet bez cudzysłowu. Często na widowni toczyła się druga akcja, ciekawsza od rozgrywanej na scenie. Wszystko to było powszechnie znane, ale z wyjątkiem publicysty z „Życia Literackiego”, bijącego w ubiegłym roku na alarm, dyskutanci rozkładali ręce gestem, który mówił: — „Siła złego na jednego”.)

Przeszło się do porządku dziennego, nad tym, że „poeci” nie rozumieją tekstów, a inscenizacja dla nastolatka jest równie czarna magia co logarytm czy równania dwukwadratowe. Dotychczas poprzestano na środkach administracyjnych, zwiększono nadzór administracyjny na przedstawieniach szkolnych i jeżeli młodzież nudzi się, robi to w sposób taktowny i kulturalny. Bez wątpliwości „Ci, którzy Polską władają” nie tylko nad teatrem muszą się zastanawiać, ale nie nie zmienić faktu, że teatr jest, poza książką i piękną muzyką, jednym z najwartościowszych środków oddziaływania kulturalnego i krzywdzi się młodych, jeśli nie ułatwia się im odbiór widowiska. Czy dopiero wtedy, kiedy dostaną się na wyższe studia tak pokochają Melpomenę, że nie będą mogli wyżyć bez jednego przedstawienia w tygodniu?

Cudów w Polsce nie ma, pozwala się więc młodzieży spazczała swe gusty na kiepskich filmach seryjnych zagranicznego pochodzenia, przedstawiających świat w niezwykle uproszczony sposób. Teatrowi się nie pomaga, pozostawia się go walczyć, jak don Kichot, z wiatrakami. Nie dziwnego, że nasza muza teatru popielnia te czy inne błędy, żadna Ariadna nie wskazuje jej wyjścia z labiryntu bierności i braku zainteresowania. Miłość do teatru rozbudza się siłą, przez ważne zarządzenia Kuratorium. Po co młodzież ma obecnie chodzić do teatru skoro ten odwraca się do niej tyłem, w najlepszym razie przytula do serca szorstkim

gestem ojczyzna? W repertuarze przeważają i przeważają przedstawienia dla dorosłych, dla nastolatków zbyt trudne i niezrozumiałe. Jeszcze problemy miłosno-obyczajowe są jako tako atrakcyjne, ale teoretycznie wspomniane sztuki nie powinny być udostępniane zbyt młodym widzom. Czasem i na spektaklach dla dorosłych młody widz mógł się posmiać, ale wybuch śmiechu nie przytłumił myśli: — „Dlaczego tutaj nie ma nic o naszym życiu?” I z czasem przychodziło zniechęcenie. Inicjatywy były, ale nie takie jak trzeba. Zorganizowano, słusznie nawet w założeniu, przedstawienia szkolne wciągając je do udowadniania, że wszystko co nudne to cudne. I dawniej, i obecnie brak tym spektaklom popularności. Mimo woli patrząc na to co się dzieje w sztukach dla młodzieży, wracam wyobraźnią do „Ferdynand” Gombrowicza, gdzie podobnie usiłowano rozbudzić miłość do poetyckiego słowa. To dziwne, że w XX w. zapomniało się o funkcjonalnym, komunikatywnym charakterze słowa i stara się w nim widzieć coś więcej niż słowo. Piszę to w związku ze spektaklem „Pana Tadeusza”. Nie chciałbym, żeby mnie źle zrozumiano. Ten utwór jest mi bardzo bliski, czytałem go kilkanaście razy, często też wracam do niego myślami. Z tego co słyszę wiem jednak, że nie jest to utwór bliski młodzieży i dla szerszych kręgów poza „humanistami”, nie przedstawia się jako coś atrakcyjnego. Zresztą uczniowie opanowują jego fragmenty pamięciowo, słyszą recytacje, przerabiają szczegółowo i drobiazgowo w szkole. To spowszednia dzieło i odbiera mu nimb wyjątkowości. W zamian za konieczność wysłuchania pięknych strof Teatr Rozmaitości nie daje im nie młodzieżowego, albo w najlepszym razie jakiegoś okrusku, przeważnie programu typu estradowego. Inne teatry rzucą czasem na odczepnego młodzieżową sztukę sprzed paru lat i znowu kokietują dorosłych. Można tu podać: „W 80 dni dookoła świata”, „Anię z Zielonego Wzgórza”, „Robin Hooda”. A młodzież rozrabia i ma do tego powody, jak pisało w jednym z ostatnich numerów „Polityki”. Młodzi nie muszą szukać w teatrze poezji. Mają ją u siebie w szkole, w teatrach szkolnych, w pozaszkolnych teatrach poezji czy w występach na uroczystościach wewnętrznych, będą-

cych wyrazem politycznego zaangażowania dyrektora, w najlepszym razie jego snobizmu.

Może by wreszcie czas to wszystko zmienić? Więcej sztuk prawdziwie młodzieżowych i to współczesnych! Daje się przecież dzieciom to, czego pragną: — baśnie, cudowne sceniczne opowieści ze świata dziwów i czarów. Czy młodzież musi być gorsza??? Oczywiście na łatwiznie spocząć nie można! Powinno się nastolatkom pokazać i sztuki trudniejsze, poruszające problemy świata tego, ale akcją towarzyszyć musi odpowiednio przeprowadzone poszerzenie wiedzy o teatrze. Tu szczególnie doniosłe zadanie przypada pismom młodzieżowym, nie dość wzorować się na prasie dla dorosłych, sięgając zaś po ciekawsze tematy to oportunistom, który wyda gorzkie owoce. (Skończymy wreszcie z cielecym zachwytem dla jazzu i piosenki). Do dyspozycji są różne środki. Osobiście zachęcałbym do rozbięcia szablonu lekcji, poświęcenia jej na dyskusję młodzieży z recenzentem, reżyserem, aktorem. Na pewno wiedzą oni o teatrze znacznie więcej niż niejeden nauczyciel języka polskiego. Szkoda, że teatr w programie przedmiotów humanistycznych jest upośledzony, nie warto tam szukać najwybitniejszych dramatów współczesnych, nie znajdzie się także w lekturze obowiązującej czy uzupełniającej ani jednego pamiętnika aktora, ani jednego zbiorku recenzji. Uczniowie wszystko co dotyczy teatru przyjmują na słowo honoru. Niewątpliwie telewizyjny cykl „Dzieje dramatu” wiele daje widzowi, ale czy zawsze jest czas na pozycje nieprzewidziane w programie? Szczególnie ciekawe były audycje poświęcone dramatom nowszym i najnowszym, tych ostatnich było bardzo niewiele i korzystano z nich w stopniu ograniczonym, gdyż sztuka współczesna trudna jest do komentowania, a poza tym program traktuje ją jeszcze jako coś tylko eksperymentatorskiego. Interesujące pozycje — nie wymieniam po kolei — „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego, „W małym domu” Rittnera. Są to, oczywiście, sprawy do dyskusji. Myślę, że nowy młodzieżowy repertuar można osiągnąć drogą konkursów, adaptacji, montażu autentycznych przeżyć i wypowiedzi młodych. Gdy się to stanie, młodzież pokocha Melpomenę i nie będzie już mogła bez niej żyć.



„Formy” Fot. A. Pukaczewski

## O ŁODZI I LITERATURZE POLSKIEJ

rozmowa  
z Jarosławem  
Iwaszkiewiczem

Dalszy ciąg ze str. 1

ODGŁOSY: Więc zna Pan Łódź od dawna?

J. IWASZKIEWICZ: Po raz pierwszy w Łodzi byłem w roku 1911. Szlak Brzeziński, Lipiny, Nowosolna, Stryków, Dobieszków, Łódź — to szlak mojej bardzo wczesnej młodości. A ponieważ tak wczesne wrażenia zostawiają ślad na całe życie — mogę te okolice uważać za drugą, obok Ukrainy, dziedzinę mojej młodości. Lato 1911 a także i lata późniejsze, nawet 1914 spędzałem w pięknym domu Plichów, w Byszewach, położonych pomiędzy Strykowem a Nowosolną. Dom ten stoi do dziś dnia, istnieją piękne stawy i zagajniki, gdzieś hasali z całą grupą młodzieży. Od czasu do czasu dziś jeszcze odwiedzam te strony, z całą rozkoszą odnajduję ten falisty pejzaż, zapach lubinu, wielkie kamienne stodoły, stary dąb stojący w ogrodzie w Byszewach, który tak dużą rolę odgrywa w ostatnim tomie mojej „Sławy i Chwały”.

ODGŁOSY: To było przed pierwszą wojną. Ale czy ma Pan jakieś wspomnienia i z okresu międzywojennego?

J. IWASZKIEWICZ: Oczywiście. Było to miasto moich przyjaciół: Juliana Tuwima, a także przemiłego poety Mieczysława Braunsztajna (Mieczysław Braun), o którym się mało dzisiaj pamięta. Wizyty w domu rodziców Tuwima, spotkania z jego siostrą i z nim samym, pamiętam mi są do dziś dnia. Pamiętam także premierę „Lata w Nohant” w marcu 1937 roku, reżyserowaną przez Henryka Szlepińskiego, którego znam jeszcze w Szkole Dramatycznej, a którego niebawem spotkałem w charakterze konduktora, potem kontrolera na kolejkach EKD, moim głównym środkiem komunikacyjnym z Warszawą podczas całej wojny. Pamiętam także jakiś wieczór autorski w Łodzi razem z Kazimierzem Wierzyńskim, gdzieśmy wybrali potem jakiś okropny pociąg do Warszawy i musielśmy cztery godziny siedzieć w Kuluszkach... w tym pięknym podłódzkim pejzażu.

ODGŁOSY: A obecnie?

J. IWASZKIEWICZ: Obecnie kiedy przyjeżdżam do Łodzi, to nie te najdawniejsze wspomnienia mnie zajmują. Znacznie później, zaraz po wyzwoleniu, Łódź była przecież stolicą kulturalną Polski. Przyjeżdżałem tu często i siedziałem po parę tygodni, mieszkając zazwyczaj u naszej drogiej przyjaciółki Poli Gojawiczyńskiej. Ach, co to była za epoka! Odnajdywanie starych znajomych i przyjaciół, spotkanie nowych dotychczas nie znanych. Maria Morska wróciła tu ze Lwowa, Paweł Hertz z Związku Radzieckiego, były to radosne spotkania. Artur Sandauer był jeszcze wtedy młodym inteligentnym człowiekiem i pierwsze spotkania z nim wtedy należały do przyjemności. Były to bohaterskie czasy Łodzi.

ODGŁOSY: Na Krakowskim Wałnym Zjeździe Literatów został Pan ponownie wybrany na prezesa Zarządu Głównego ZLP. Jest Pan również długoletnim redaktorem naczelnym „Twórczości”. Daje to panu możliwość stałej i bezpośredniej obserwacji rozwoju naszej literatury. Jak zatem ocenia Pan współczesną literaturę polską?

J. IWASZKIEWICZ: Długoletnia praca moja w Zarządzie Głównym Związku Literatów, jak i na stanowisku redaktora rozmaitych pism nauczyły mnie jednego:



niezmiernej ostrożności w sądach. Bardzo łatwo jest wydawać apodyktyczne orzeczenia, wystawiać cenzurki i przewidywania, które się najczęściej nie spełniają. Oczywiście oceniam bardzo pozytywnie naszą literaturę współczesną — czy jednak czas tę moją ocenę potwierdzi? Bieżąca produkcja literacka jest obfita i urozmaicona, co z niej zostanie dla przyszłych pokoleń, bardzo trudno jest przewidzieć. Tym bardziej, że w życiu dzieł literackich następują fluktuacje i popularność ich i ocena pozytywna mają pewien rytm opadów i wzrostu.

ODGŁOSY: I pytanie ostatnie: jak Pan ocenia łódzkie środowisko literackie?

J. IWASZKIEWICZ: W tej chwili mam mało kontaktów z łódzkim środowiskiem literackim. Ale „po owocach ich poznacie je”, powiada Pismo Święte. Środowisko, które zdobyło się na takie pismo, jakim są „Odgłosy”, coraz bardziej interesująco redagowane, coraz ciekawsze i — to z każdym numerem — oczywiście zasługuje na ocenę pozytywną. Cieszę się, że mogę udzielić wywiadu współpracownikowi tego wartościowego pisma literackiego.

ODGŁOSY: Dziękujemy.

ROZMOWĘ PRZEPROWADZIŁ:  
JAN KOPROWSKI

## NOWE WŁADZE ODDZIAŁU ZLP

W niedzielę 6. II. br. odbyło się walne zebranie łódzkiego oddziału ZLP, w czasie którego, po sprawozdaniach i ożywionej dyskusji, dokonano wyboru nowych władz związku. A oto skład nowego Zarządu oddziału ZLP: Prezes — Marian Plechal, wiceprezisi — Wiesław Jajdzynski i Tadeusz Papier, sekretarz — Bernard Szajnert, skarbnik — Roman Loba, członkowie Zarządu — Tadeusz Giegier i Stanisław Kaszynski.

## ZAZDROŚĆ O KSIĄŻKĘ

Zza się w oku szkła, a dusza smętnieje, gdy się pomyśli, jak to czas szybko pomyka bezsilnie czyniąc z rzeczy nowych — dawne, z młodych — stare, z aktualnie modnych i nowatorskich — historyczne. Każdy co pewien czas rozmyśla przy różnych okazjach o przemianach czasu, a mnie to często „używane” refleksje przywiodła na myśl niedawno wydana „Antologia lubelskich poetów dwudziestolecia międzywojennego” w opracowaniu Wacława Mroźowskiego, związanego również z lubelskim środowiskiem twórczym wymiennym w tytule okresu. Ci, którzy tak niedawno reprezentowali nowe prądy

w poezji i tak niedawno debiutowali, dziś są już dojrzałymi literatami, kilku z reprezentowanych w „Antologii” twórców zginęło tragicznie podczas wojny, a to, co kiedyś uważano za nową, odważną i „dziwną” poezję wobec dzisiejszych o wiele odważniejszych dziwności, jest proste i komunikatywne.

Dawno skończyło się dwudziestolecie międzywojenne, nie wiadomo kiedy przeszło nowe dwudziestolecie; z tej perspektywy można już oceniać, ba, trzeba przypominać to co minęło. I nikogo, kto w poezji obeznany, nie powinno chyba dziwić, że zostają przypomnieni poeci lubelscy. Wszak prężne środowisko literackie Lubelszczyzny chlubnie wpisało się do księgi poezji polskiej, a niebagatelną ro-

lę odegrały pisma poetyckie, że przypomnę tu krótką karierę „Reflektora” i olbrzymie zasługi „Kamienicy”. Tak się złożyło, że „Antologia” W. Mroźowskiego ukazała się w niedługim czasie po książce K. A. Jaworskiego „W kręgu Kamienicy”. A ponieważ prawie wszyscy poeci drukowani w „Antologii” związani byli z „Kamienią”, przeto obie książki doskonale się uzupełniają i wzajemnie ilustrują, chociaż to zestawienie ma także mały minus. Wstęp do antologii poetów lubelskich napisany przez Jana Szczawieja, a głównie poświęcony periodykom poetyckim, w partiach omawiających czasopisma lubelskie przynosi te same informacje, które, oczywiście znacznie rozszerzone, znajdziemy w książce Jaworskiego. Mimo to zachę-

cam do przeczytania obu tych książek, a w stronę Wydawnictwa Lubelskiego pozwolę sobie złożyć uktion za mądrą i planowaną politykę wydawniczą. Nie będzie chyba niedyskrecją, jeśli powiem tutaj, że w „Antologii” prezentowani są poeci związani nie tylko wspólnym piśmem, spotkali się także dawni uczniowie Miejskiego Seminarium Nauczycielskiego — I. Igoń — Gąsiorowski, J. Szczawiej, W. Kasperski, Z. Popowski, Cz. Morawski, Cz. Twardzik i W. Mroźowski ze swoim nauczycielem — K. A. Jaworskim. Zestaw wierszy, jaki daje do rąk Czytelnika W. Mroźowski, przynosi szeroki zakres tematyki, postaw i kierunków poetyckich. Obok Franciszki Arnsztajnowej, seniorek poezji lubelskiej, debiutującej w okresie Młodej

Polski, której wiersze otwierają ten przegląd, znajdziemy utwory awangardzisty Czechowicza, przedstawiciela futurysty St. Młodożeńca, symbolisty Leśmiana i wielu innych poetów, z których część weszła na trwałe do literatury, a niektórych dziś się już nie pamięta, a jeszcze inni skończyli swoją działalność literacką.

W swoim wstępie J. Szczawiej pisze, że na przełomie 1918 do 1924 r. mamy tylko dwie antologie poświęcone poetom lubelskim, a mianowicie „Antologie współczesnych poetów lubelskich” bibliofila dr Ludwika Zalewskiego z 1923 r. i obecną pracę Wacława Mroźowskiego. Co w takim razie mają powiedzieć poeci łódzcy, którzy jakoś nie mogą się doczekać publikacji o poe-

zji swojego miasta? A przecież Łódź ma także swoje tradycje poetyckie, wszak łodzianinem był J. Tuwim, długo tu mieszkał M. Jastrun, a wielu znanych poetów, nie będę wymieniał nazwisk, bo wymienić i tak nie można w ramach krótkiej recenzji, mieszka i tworzy w naszym mieście i tworzy radość i twórców poezji i jej odbiorców.

MONIKA BOGUCKA

„Antologia lubelskich poetów dwudziestolecia międzywojennego” — opracował W. Mroźowski, Wydawnictwo Lubelskie — Lublin, 1963, str. 240, cena zł 25.

EDWARD MÜLLER

# „GALERIA-20”

Blisko dwuletnie istnienie salonu plastycznego o skromnej nazwie „Galeria-20”, upoważnia do przyjęcia go jako stałej instytucji kulturalnej naszego miasta i próby przedstawienia historii, osiągnięć i porażek tej inicjatywy. Powstanie galerii tak potrzebnej w naszym ubogim w sale wystawowe mieście poprzedziło skonsolidowanie się grupy łódzkich absolwentów PWSSP wokół Zarządu Łódzkiego ZMS.

Grupa ta doprowadziła do otwarcia zbiorowej wystawy pod nazwą „Kontrasty”, podając sugestie utworzenia stałej placówki wystawienniczej pod protektorem ZŁ ZMS, która umożliwiłaby niełatwy start młodym artystom poprzez organizowanie debiutów wystawowych. Ambicja i usilne starania części tej grupy doprowadziły w lipcu 1964 roku do otwarcia wystawy zbiorowej, inauguracyjnej działalności „Galerii-20”.

Lokal i środki finansowe na działalność dostarczył Zarząd Łódzki ZMS i powstały w tym czasie Międzyzakładowy Dom Kultury Włókiarzy. W wystawie udział wzięli: Bogusław Balicki, Jerzy Derkowski, Tomasz Jaśkiewicz, Jerzy Kudukis, Henryk Strumiłło, Andrzej Szonert. Wystawa ta wzbudziła duże zainteresowanie w łódzkim środowisku kulturalnym, o wydarzeniu tym pisała cała łódzka prasa, zamieszczając liczne artykuły i recenzje. Miłe zło początki, dała działalność „Galerii-20” nie znajdowała uznania łódzkiej prasy. Znacznie częściej czytelnik łódzki informowany był o wystawach w warszawskiej „Zachęcie” czy Muzeum Narodowym, niż o częstych wernisażach „Galerii-20”. W księdze pamiątkowej galerii jeden z zwiedzających dał wyraz swojemu zdumieniu, że o fakcie trwania wystawy dowiedział się od znajomych, nie znajdując żadnego ogłoszenia w łódzkiej prasie. Jest to jeden z przyczynków do stałe omawianej atmosfery prowincjonalizmu Łodzi. Wydaje się, że w dużej mierze sami ją wytworzyliśmy. W konsekwencji o działalności „Galerii-20” więcej się mówi w Warszawie, Toruniu czy Wrocławiu, niż w Łodzi.

A dorobek grupy plastycznej związanej z „Galerią-20” jest niemały. Pełną wspomnianą już wystawą w ramach „Galerii-20” swoje prace wystawiali Janina Tworek-Pierzgałska (grafika i rysunek), Henryk Strumiłło (olej), Andrzej Szonert (olej), Lech Różga (grafika), Władysław Wasilewski (olej).

W grudniu 1965 roku zorganizowano ciekawą ekspozycję rzeźby, plon konkursu na pomnik w Polichnie a ostatnio

wystawę zbiorową grupy „Profil” obejmującą młodsze pokolenie absolwentów PWSSP: Jadwigę Marciniak, Lucjana Barana, Edwarda Chabdas, Andrzeja Nawrota i Zbignie-

wa Władysława. Poza tym członkowie grupy wchodzić jako jedna z najżywoźniejszych sekcji w skład powstałego przy Zarządzie Łódzkim ZMS Klubu Młodych Twórców. Nawiazali oni szereg interesujących kontaktów, których wynikiem będzie na przykład wystawa kilku członków tej grupy w Bydgoszczy w marcu br. oraz wystawa środowiska bydgoskiego w „Galerii-20”. W dalszej przyszłości przewidywane są wystawy członków grupy w Budapeszcie i Francji. Na miesiąc luty przygotowują oni wielką wystawę zbiorową członków „Galerii-20”. Jak więc widzimy zarówno osiągnięcia jak i plany tej instytucji są bardzo piękne. I fakt ten sam

bardziej każe wspomnieć o pewnych niedociągnięciach. Sprawa zasadnicza to wygląd sali ekspozycyjnej. Dwa lata istnienia to okres czasu wystarczający do zmiany, aby przyjęto jako zło konieczne prowizorkę adaptowaną do zmienionych warunków sali wystawowej. Złóżki koloru ścian i warunki świetlne wymagają zasadniczej zmiany. Są to jednak sprawy techniczne, które — miejmy nadzieję — za sprawą Zarządu Łódzkiego ZMS i Międzyzakładowego Domu Kultury wkrótce ulegną zmianie. Pozwoli to „Galerii-20” na rozwinięcie działalności i osiągnięcie większej rangi w życiu kulturalnym naszego miasta.



Andrzej Pukaczewski — „Pod światło”.

## SPEKTAKLE tygodnia

Teatr	
<b>NOWY</b>	„Lato w Nohant”, 4 spektakle 2.800 — 100%
	„Ali Baba”, 3 spektakle 2.100 — 100%
	„Dożywocie”, 2 spektakle 800 — 65%
	„Faust”, 1 spektakl 500 — 75%
	„Życie Galileusza”, 1 spektakl 100 — 60%
<b>NOWY Mała Sala</b>	„Anioł na dworcu”, 2 spektakle 400 — 100%
<b>JARACZA</b>	„Kto się boi Virginii Woolf?”, 3 spektakle 1.881 — 92%
	„Ostatnia stacja”, 2 spektakle 1.230 — 100%
<b>POWSZECHNY</b>	„Dom otwarty”, 3 spektakle 1.930 — 97%
	„Tango”, 3 spektakle 1.990 — 99%
	„Niewidzialny książę”, 2 spektakle 1.336 — 100%
<b>7.15</b>	„Kłamaczucha”, 4 spektakle 1.756 — 100%
<b>OPERETKA</b>	„Piękna Helena”, 6 spektakli 4.653 — 69%
<b>FILHARMONIA</b>	2 koncerty symfoniczne 715 słuchaczy 50%
<b>ESTRADA</b>	Wielki karnawał młodzieży 2 spektakle 16 000 widzów 100%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

## Książki nadesłane

**Bogusław Kogut — KOMU WOLNO ŻYC**, Wyd. Poznańskie, cena zł 11.—  
**Jerzy Jesionowski — NIEWYGODNY CZŁOWIEK**, Wyd. Poznańskie, cena zł 10.—  
**A. Chyczewska i S. Weyman — ZAMEK KÓRNICKI**, Wyd. Poznańskie, cena zł 12.—

## KRONIKA



### LEKCEWAŻONE POWODZENIE

Na wczesnych godzinach wieczornych, by nie oglądać telewizji, nie słuchać radia. Szanująca się osoba, posiada jąca jakieś tam życie wewnętrzne, powinna umieć przebywać sama ze sobą i nie nudzić się. Albo nudzić się w miarę rzadko. Z pewnego punktu widzenia najniższej stawiam tych, którzy nawet na spacerze wśród oszronionych drzew lub wśród bulgoczących strumyków słuchają gęgania tranzystorowego aparatu. To ludzie wyjątkowo ubodzy, kalecy! (Ale czas, żeby coś z nimi zrobić: zwłaszcza latem odbierają nam resztkę ciszy w każdym ogródku publicznym, w każdym parku)

Trzeba przyznać, że TV w styczniu raczej ułatwiała ominięcie pokoju z telewizorem, program w zasadzie sprowadzał się do przeciętnego serwisu, dużo o tym mówili się w jadalni podczas wspólnych posiłków, zwłaszcza, iż wśród nas znajdował się jeden z poważnych współpracowników warszawskiego ośrodka TV, wprowadzający nas w kłopoty budżetowe tej potężnej skądinąd instytucji. Piszący te słowa z satysfakcją obejrzał jedynie „Henryka IV” Pirandella, o którym pisał sympatyczny Zastępcę. Przerwa w oglądaniu zastrza krytycyzm, odświeża zdolności percepcyjne. I oto w ubiegłym tygodniu także mało co zastępuje na osobne omówienie, wszystko da je powód do tego, by ponarzekać generalnie.

W 1935 roku niezapomniał K. I. Gałczyński napisał fraszkę pt. „Rozgłoszenia”. To nie, że to niszczy nerwy, ale spojrzcie, jaka kalkulacja znakomita:

Przebieg tylko oficer rezerwy, gramofon, szpilka i płyta.

Satyryczna fraszka, jeśli mnie pamięć nie myli, dotyczyła rozgłoszenia wileńskiej. Ten oficer rezerwy — informacja dla ew. doktorantów z polonistyki — to ówczesny kierownik programowy rozgłoszeń, zamordowany później przez hitlerowców, poeta Witold Hulewicz.

Mutandis mutandis czyli zmieniliśmy to co powinno być zmienione, przytoczona fraszka może służyć jako mot to do tego felietonu. Polska telewizja osiągnęła olbrzymi sukces: dwa miliony aparatów, wiele pięknych pozycji programowych i... spo

czynek na laurach, o którego rozmaitych przyczynach lepiej wiedzą ludzie związani obowiązkami z TV.

A przecież utrzymać się przy sukcesie i utrwaląc go, poszerzać, to właśnie troska o jeszcze bogatsze programy z jednej strony, o lepsze i tańsze odbiorniki i lepszy technicznie przekaz z drugiej. O każde dalsze sto tysięcy odbiorców będzie znacznie trudniej, niż o poprzednie pół miliona. Powodzenia nie wolno lekceważyć. Wszystkie jednak sprawa wrażenia, że właśnie zmierzono się dotychczasowymi osiągnięciami. Przypomina to nie tak dawną sytuację z czytelnictwem. Gdy czytelniczo stało się wielką i piękną potrzebą, wtedy dał się od czuć brak książek, zastępujących na zainteresowanie, niektóre pisma otrzymywało się tylko dzięki koneksjom z personelem kiosków. Była ośbawa — obecnie mniej już istotna — że się w jakimś stopniu zmarzałe rozbudzone w ludziach głęboko humanistyczną potrzebę.

Teraz wygląda na to, że TV przeżywa jakiś kryzys. Ostatecznie bowiem właśnie i przede wszystkim w miesiącach zimowych człowiek najchętniej przesiaduje przed małym ekranem, a tymczasem niewiele jest powodów, by to czynić.

Dostarczające poetyckich wrażeń mistrzostwa łyżwiarskie z Brajlsławą (dziwne, że takie popisy nie docierają jako temat na przykład do współczesnej poezji) nie są w końcu zastęga TV.

Jeśli TV, z grubszą rzeźbioną, daje tylko to, czego mogą mi dostarczyć książki i czasopisma, to rzadziej będzie włączać swój aparat.

Nie bardzo też rozumiem, dlaczego materiału dla scenarzysty filmowych uparcie szuka się w opowiadaniach obcych pisarzy (przykład: nie udany „Avatar”), skoro mamy bogaty rodzimy dorobek nowelistyczny z przeszłości i teraźniejszości. Nawet w wypadku fantastyki. Nie mówię o Lemie, proszę zażrzeć choćby do opracowanej przez Tuwima dwutomowej antologii „polskiej noweli fantastycznej”.

I oto: aż strach pomyśleć, jak jałowe byłyby wieczory telewizyjne, a raczej bezbarwne, gdyby nie łyżwiarskie mistrzostwa Europy! Pamiętajmy, że na mistrzostwa wędkańskie w lecie nie ma co liczyć, bo to dla małego ekranu nie efektownego, aczkolwiek wdękarzy, jako ludzi szczególnie przysposobionych do kontemplacji, bardzo cenię i lubię. Zwłaszcza takich, którym dla siedzenia nad wodą nie są nawet potrzebne haczyki na końcu żyłek!

*Jan Huszczyński*

PS. Niedziela była jaskrawym pokazem mankamentów techniczno-organizacyjnych!

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Na ekrany wchodzi nowy film Jerzego Passendorfera — „NIEDZIELA SPRAWIEDLIWOŚCI”. Problematyka przypomina nieco czeski film sprzed kilku miesięcy pt. „Oskarżam”. Tu i tam postawiono problem nadużyć gospodarczych. Oba filmy pomyślane były jako dramaty psychologiczne. Film czeski całą uwagę skupia na osobie oskarżonego. Dramat rozgrywa się na sali sądowej. Jest pasjonujący. Sprawa nie jest bowiem prosta. Oskarżony to w gruncie rzeczy oddany i zasłużony dla spraw socjalizmu obywatel. Nie podolał jednak nałożonym na siebie obowiązkom dyrektora. Jego przeoczenia umożliwiły nadużycia gospodarce. Tu jednak pojawia się problem: a może jego obowiązki były zbyt wielkie jak na barki jednego człowieka? Może zbyt wiele

oń niego wymagano? Film draży stopniowo psychikę głównej postaci. Jest wnikliwy, niczego nie upraszcza. Dzięki temu udaje mu się stworzyć obraz człowieka tętniący prawdą, niestychanie sugestywny, a dzięki ukazaniu konfliktom pełen ekspresji. To piękne, pełne wrażliwości dla ludzkich spraw dzieło. Niestety — nie można powiedzieć tego samego o „Niedzieli sprawiedliwości”. W przeciwieństwie do swego czeskiego poprzednika upraszcza niestychanie, a więc słyca zrazem problematykę psychologiczną, a powstała w ten sposób luka, niedociągnięcia, stara się zatuszować chwytami melodramatycznymi i sensacyjnością. Analizie psychologicznej poddane tu zostały dwie postacie: prokuratora, który po przeżytym dramacie miłosnym przyjeżdża z

Warszawy do małego miasteczka i młodej dziewczyny, która zwraca tem jego uwagę. Magda — tak bowiem ma na imię owa dziewczyna — jest kochanką dyrektora miejscowych zakładów, w których popełwiono milionowe nadużycia. Mimo swej młodości Magda jest człowiekiem przegranym, zmeżonym i bez nadziei, bo zbyt słabym, żeby wyplatać się z sytuacji, w którą wplątała się w swoim czasie. „Niedziela sprawiedliwości” zajmuje się raczej stwierdzeniem pewnych stanów psychicznych i ich opisem, niż przedstawieniem ludzkiej psychiki w jej dynamice, w startach, w walce, jaka zachodzi w wewnętrznym życiu człowieka. Toteż mimo swej sensacyjności (trzy trupy i prokurator) film jest w gruncie rzeczy bardzo statyczny. Gorzej, bo jego obser-

wacje są powierzchowne. Twórcy zbyt wiele chcieli w tym filmie powiedzieć i w rezultacie niczego nie powiedzieli dobrze i do końca. Jest przecież w „Niedzieli sprawiedliwości” także problem młodzieży i sprawa małych miasteczek, ziejającej z nich beznadziejnej nudy. Jak dalece upraszczał twórcy filmu problematykę, widać najlepiej na przykładzie postaci dyrektora. Gdzie tu prawda ludzkiej psychiki? Dawno nie oglądaliśmy w polskim filmie również czarnego typu, tak jednoznacznie i schematycznie złego. Passendorfer do komedii. Ale „Niedziela sprawiedliwości” jest przecież filmem na serio. Bardzo poważnym i straszliwie nudnym, Pompetycznym i nieudanym.



Nie na darmo od najwcześniejszych lat kinematografii jej krytycy i teoretycy zgodnie stwierdzali, że film jest królestwem ruchu. Rzecz tak oczywista dla współczesnego widza, że wręcz niezauważalna. Co pewien czas pojawiają się jednak filmy, których fascynacja ruchem jest tak wielka, że mimo przyzwyczajenia szokuje i porwa wyobraźnię widza. Ostatnio królem nad królestwem owym królestwem ruchu jest nie-

zaprzeczalnie komedia przygodowa „ZŁOTO ALASKI”. Jakież cudowne bójki staczają tam bohaterowie! Wspaniałe, pomysłowe gagi, cudowna beztróskość, dowcip, humor — oto niezaprzeczalne zalety „Złota Alaski”. Ogląda się ten film jak najlepszy western. Toteż śmiało można zachwalać go jako doskonałą rozrywkę. Dodajmy, że jest on kolorowy i szerokoekranowy. I jak western opowiada o meskiej przy-

jaźni, miłości (kobieta jest oczywiście piękna i dzielna), o tym, jak sprawiedliwość zwycięża mimo wszy stkich przeciwnostw. Fabuła nie jest więc skomplikowana, co nie oznacza braku następujących po sobie szybko wydarzeń. Cały wdzięk tego filmu leży więc w jego formie, w sposobie realizacji. Tym bardziej, że oglądamy tu doskonałą grę aktorów, którzy stworzyli znakomite typy komedijowe. Naj-

bardziej cenny jest jednak — nowotarsam — kapitalny humor „Złota Alaski”, jej żywiołowość, rozmach, świetne tempo. To decyduje, że filmowi temu postawilibym w obrębie tego gatunku ekranowego ocenę bardzo wysoką. Zaręczam, że ten kto ma choćby minimalne poczucie humoru, wyjdzie z kina naprawdę zadowolony.

MARIABEL

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## ZMARŁ ALBERTO GIACOMETTI

W wieku lat 65 zmarł znany na całym świecie rzeźbiarz Alberto Giacometti.

Giacometti urodził się w Szwajcarii, przebywał i tworzył wiele lat w Paryżu. Studiował jakiś czas w pracowni Bourdelle'a.

Twórczość rzeźbiarską Giacomettiego cechuje tendencja do wydłużania ludzkich postaci. Kiedy go pytano czemu nadaje ludzkim postaciom, tak zdeformowane, wysmukłone i zwiewne kształty, odpowiadał, zblizając swą twarz do twarzy rozmówcy: „Kiedy w ten sposób patrzę na kogoś, widzę, że twarz mu się wydłuża, a ciało staje się cienkie jak gałązka”.

Nie lubił monumentalizmu w rzeźbie. Jego dzieła są na ogół niewielkich rozmiarów, czasem wprost małe. „Nie jesteśmy krowami — mówi — którym się zdaje, że ludzie są znacznie więksi niż one”.

Wychowany na sztuce włoskiej cenit jednak rzeźby murzyńskiej i mieśkańców Oceanii. Rzeźby egipskiej przyznawał wiele wartości, choć uważał, że ani starożytni Egipcjanie, ani Grecy i Rzymianie nie potrafili należycie rozwiązać problemu plastycznego przedstawienia ludzkiego oka. „Rzeźba grecka jest ślepa — twierdził — egipska nie może się uwolnić od fimitowania oka”. Natomiast, według Giacomettiego, artyści afrykańscy i z wysp Oceanii nie zajmują się odwzorowaniem oka, ale za to w ich rzeźbach oddane jest spojrzenie, a o to właśnie chodzi.

## UROCZYSTOŚCI W ZWIĄZKU RADZIECKIM KU CZCI ROMAIN ROLLANDA

29 stycznia mija w tym roku 100 lat od daty urodzin znanego pisarza francuskiego Romain Rollanda. Dla uczczenia tej rocznicy Rada Ministrów ZSRR powołała Wszczężwiązkowy Komitet Jubileuszowy.

W Związku Pisarzy ZSRR odbyło się już pierwsze posiedzenie Wszczężwiązkowego Komitetu Jubileuszowego pod przewodnictwem J. J. Anisimowa. Setna rocznica urodzin Romain Rollanda (1866—1944) obchodzona będzie w ZSRR na szeroka skalę. Postanowiono, aby uroczystości obchód odbył się w Wielkim Teatrze ZSRR. W Centralnym Domu Literatów odbędzie się uroczysta sesja poświęcona pamięci R. Rollanda. W przedsiębiorstwach, na wyższych uczelniach, w bibliotekach i klubach oraz na uniwersytetach ludowych organizowane będą referaty, wykłady i odczyty o życiu, działalności i twórczości wielkiego pisarza. Podobne wykłady i odczyty odbędą się w Instytucie Literatury Światowej im. Gorkiego, a w Bibliotece im. Lenina zostanie urządzona specjalna wystawa ku czci Romain Rollanda.

## WIELKI PISARZ ANGIELSKI WE FRANCJI

Pewną konsternację w Anglii, a zadowolenie w Paryżu wywołała wiadomość, że jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy brytyjskich, 62-letni Graham Greene, opuścił na stałe swą ojczyznę i postanowił osiedlić się we Francji. Czas swój będzie on dzielił między Antibes z ich świetnym klimatem, a Paryż gdzie nabył dom. „Oficjalnym” powodem tych przenosin jest skłonność do chorób opłucnej, co sprawia że mglisty i wilgotny klimat Anglii, „Podróż na

mat angielski staje się dla Greena niebezpieczny. Ale duże znaczenie ma miłość do Francji, którą pisarz żywi i pięknie wspomnienia z lat młodości. Trzeba też przyznać, że głośne książki Greena cieszą się we Francji olbrzymią popularnością, ich nakłady sięgają od 600 tys. do 730 tys. egzemplarzy!

Greene wyznał paryskim reporterom, że najbardziej lubi: książki Mauriac, Malraux, Camusa i Aragona, a z trunków: francuski koniak. Najbardziej nie cierpi: wywiady prasowych, teatru (z powodu antraków), wojny w Wietnamie i — sukcesu. („Sukces jest chorobą, a której się niepodobna wyleczyć” — oświadczył).

## „CÓRKI OGNIA”

„Córki ognia” według opowiadania Gérauda de Nerval to arcydzieło telewizyjne, w którym skomplikowane odcienie nastrojów, wewnętrznych konfliktów i obsesji autora, przetransponowano na wizualne środki wyrazu. Gérard de Nerval (właśc. Gérard Labrunie ur. 1808,



TESSA BEAUMONT

zmarł 1855) uważany jest za jednego z najwybitniejszych pisarzy francuskich dziewiętnastego wieku. Debiutował jako poeta mając osiemnaście lat. Potem wiele podróżuje i pisze. Do najwybitniejszych utworów Nerval'a należą opowiadania: „Sylwia”, „Chimery”, „Podróż na

Wschód”, „Iluminacje”, „Córki ognia”. Rozwijająca się choroba psychiczna doprowadza pisarza do samobójstwa.

„Córki ognia” pisał Nerval pod koniec swego życia, w czasie gdy miewał coraz częstsze nawroty choroby psychicznej. Tematem opowiadania jest konflikt wewnętrzny między wysublimowaną miłością idealną bohatera, a jego miłością realną, konflikt między marzeniem a rzeczywistością. Uosobieniem marzenia jest postać Adrienne, rzeczywistości Sylwia. Myśl Nerval'a błędzi między rozsądkiem i szaleństwem.

Trzeba więc było za pomocą nowych środków wyrazu oddać skomplikowany krąg przeżyć autora, jego nastrojów, utamkowanych wspomnień zbiegających się następnie w całość, lub rozprzechających się znowu. Ową powikłaną grę nastrojów może w sposób wizualny przekazać balet. Jako tło, wybrano krajobraz, w którym de Nerval umiejscowił akcję swego opowiadania. Sielskość krajobrazu i kontrastujące z nią ruiny starego zamczyska stwarzały chwilami specyficzną nastrój odrealnienia i niesamowitości. Dobrano do tego specjalnie muzykę i głos interpretatora. W sumie, jak podkreśla krytyka, telewizyjna francuska dała war tościowe i niezmiernie interesujące widowisko. Prasa podkreśla ponadto, że przekazanie w sposób wizualny tego typu utworu literackiego jest możliwe jedynie przy pomocy telewizji.

Autorem scenariusza są Youri, J. M. Coldefy, choreografem jest Georges Skibine, kompozytorem Maurice Jarre, a tańcami: Skouratoff, Beaumont i Mallart. „Córki ognia” otrzymały w roku 1962 Prix Italia.

## PODWOJNY SUKCES CAMUSA

Nawet mniej wybitna sztuka Alberta Camusa „Nieporozumienie” („Malentendu”) cieszyła się w ubiegłym roku dużym sukcesem w Paryżu. Zachęciło to znaną aktorkę Danielle Delorme do wystawienia innego jego utworu „Sprawiedliwych” („Les Justes”). W wywiadzie dla prasy Danielle Delorme powiedziała, że marzyła o poznaniu twórcy „Kali-gull”. Nigdy jednak nie śmiała do niego zatelefonować. Szczególnie interesował ją „Upadek” oraz esej „Mit Syzyfa”.

## FEYDEAU PODBIL ANGLIĘ

Latami calymi gra Komediantka Francuska, w reżyserii (znanego i w Polsce) Jacques Charona, piękne i dowcipne farsy

Feydeau np. „Duśka” (Le Dindon). Obecnie zaproszono Charona (dobrze mówiącego po angielsku), by jedną ze sztuk znakomitego autora wyreżyserował w angielskim Teatrze Narodowym, z Ollivierem w roli głównej.

## PARYSKI RZEZBIARZ LODZIANINEM?

Ostatnio w jednej z frankfurckich galerii sztuki wystawia swe rzeźby, abstrakcyjne bryły Morice Lipsi. Prasa nie szczędił artyście pochlebnych recenzji. Przy tej okazji dowiadujemy się, że Morice Lipsi urodził się w 1898 roku w Łodzi. Od 1912 pracuje w Paryżu jako artysta rzeźbiarz.

## WYSTAWA FRANCUSKIEJ FOTOGRAFII W PRADZE

Wystawa francuskiej fotografii w Pradze, w Czechosłowacji, spotkała się z ogromnym zainteresowaniem publiczności. Prasa podkreśla zwłaszcza nastrojowość fotografów, których autorami jest „Grupa ośmiu”. Grupa powstała pod egidą Międzynarodowego Związku Dziennikarzy w r. 1959 i brała udział w wystawach fotograficznych w kilkudziesięciu krajach.

## NOWA SZTUKA DÜRRENMATTA

Friedrich Dürrenmatt (autor znanych u nas sztuk „Wizyta starszej pani” i „Fizycy”) wystawił niedawno nową sztukę w Zurychu. Nosi ona tytuł „Meteor” i jest makabrycznym dramatem, choć Dürri — jak żartobliwie określa



Leonard Steckel w sztuce „Meteor” F. Dürrenmatta

ją Dürrenmatta mieszkańcy Zurychu — twierdzi, że sztuka jest komedią. Bohater dramatu, pisarz wyróżniony nagro-

## KSIĄŻKA ZNAJĘ AKTORKI O SOBIE

„Elizabeth Taylor o Elizabeth Taylor” taki tytuł będzie miała książka napisana przez znaną ame-



rykańską aktorkę. Jak podkreśla wydawca, Liz napisała książkę bez najmniejszej pomocy. Swoje wspomnienia podyktowała najpierw na taśmie magnetycznej, a następnie sama zrehabilitowała materiał.

da Nobla, Wolfgang Schwitter odznacza się tak cudowną żywotnością, że zmartwychwstaje po swej śmierci w szpitalu i zjawia się w pracowni malarza, gdzie nigdy nie malował, aby umrzeć po raz drugi. Dramat reżyserował autor wspólnie z Leopoldem Lindtbergem. Podobno Dürrenmatt zmie-

niał i poprawiał dialogi oraz niektóre epizody, niemal aż do samego momentu odsłonięcia kurtyny na premierze.

## POLONICA

### O POLSKICH PRZEKLADACH W ZSRR

W ostatnich czasach coraz częściej na półkach księgarń radzieckich pojawiają się książki polskich autorów. Nie tak dawno donosiliśmy o przekładach książek A. Minkowskiego, K. Filipowicza i J. Ozgi-Michalskiego, a już zapowiedzi wydawnicze w swym 50 numerze donoszą, że w drugim kwartale ukaza się trzy następne pozycje polskich autorów.

Oto krótkie informacje o autorach i ich książkach: „M. Warneńska — Most na rzece Ben-Haj. Znana polska pisarka i publicystka w 1964—1965 roku, była w wielu miastach i wsiach DRW, a także w dżunglach Wietnamu południowego. Książka traktuje o przyrodzie, obyczajach, oryginalnej sztuce i kulturze tego kraju”.

„A. Fiedler — Nowa przysłowia: Gwinea. Książka o Gwinei — nowa pozycja polskiego pisarza-podróżnika, wynik ostatniej jego podróży do Afryki”.

„J. Szczepański — Do Raju i z powrotem. Utalementowany polski pisarz, dokonał b. ciekawej podróży na statku handlowym „Ojów” do krajów Bliskiego Wschodu i napisał książkę”.

### O BRACIACH RESZKE

W Londynie ukazała się publikacja Harolda Rosenthala pt. „Książka o operze wieczorami do czytania”. Autor opisuje w niej kariery utalentowanych wokalistów w sposób niezwykle barwny i ciekawy. Główną tezą całej pracy Rosenthala brzmi: decydującym czynnikiem w sztuce operowej jest głos ludzki. Nas, Polaków, książka ta interesuje z tego powodu, że znajduje się w niej rozdział o głośnych swego czasu śpiewakach polskich, braciach Edwardzie i Janie Reszke.

### TRIUMFY SKROWACZEWSKIEGO

Stanisław Skrowaczewski, który od pięciu lat pełni funkcje dyrygenta Filharmonii filadelfijskiej, odbył tournée po Europie zachodniej, dyrygując koncertami w Turynie, Bernie szwajcarskim i Paryżu — przyjmowany wszędzie z entuzjazmem. Wiosną Skrowaczewski wybiera się na występy z orkiestrą filadelfijską do krajów Ameryki Południowej. Odnajdujemy przy tej sposobności, że Filharmonia Krakowska, która od bywa występami w Ameryce Północnej, odnosi triumfy pod dyktando Andrzeja Markowskiego. Krytycy pism amerykańskich oceniają występy krakowian bardzo wysoko.

### PRZYBYSZEWSKI PO NIEMIECKU

W NRF ukazała się książka Stanisława Przybyszewskiego pt. „Erinnerungen an das literarische Berlin” (Wspomnienia o literackim Berlinie). Jest to wybór z dwóch polskich książek Przybyszewskiego: „Moje wspomnienia” i „Wśród obcych”. W dzienniku berlińskim „Telegraf” ukazała się recenzja z niemieckiego wydania tych wspomnień Przybyszewskiego. Autor recenzji, Peter Silens, zarzuca książce nadmiar patetyczności, ale przyznaje zarazem, że znalazł w niej wiele interesujących szczegółów o Berlinie z przełomu wieków XIX i XX.

## POLONICA

# Notatnik KULTURALNY

**PONIEDZIAŁEK.** „Dni francuskie” w ŁDK zaczęło od Marcela Prousta, pisarza do dziś trudnego i awangardowego, jeżeli przyjąć, że dążenie do przedstawiania niestannych płynności stanów psychicznych, wykrywanie sprzeczności w człowieku i kreowanie czasu na bohatera nadal uznawane są za atrybuty „moderny” piśarskiej.

Równoległe z Freudem Proust dochodzi do swoich zmitologizowanej „teorii snów” i jest mistrzem psychologicznego paradoksu. Nie wiec dziwnego, że w „Stronie Swanna”, i tom całości pt. „W poszukiwaniu straconego czasu” został wydany środkami finansowymi autora. Dzieło życia (w oryginale 16 tomów) tworzy lew salonowy Proust w pokoju obitym korkiem, odcygni od ludzi — sam ze swoimi do świadczaniem, narkotykiem, filozofia i chorobą już do końca życia.

Pisze o tym, gdyż piękna impreza „Dni francuskie” zaczęła ŁDK od Prousta, zaś „trzeci dniem” będzie Romain Rolland, piśarsze równie wielki, lecz

ganku, kreciło was, podpięzacho brode i zerkało w strone dam dworu, które nie zważając na cie, z wypiekami na twarzy i kwiatem we włosach czekały aż cichy oblubieniec wysadzi z konia drugiego. Zazwyczaj oblubieniec bywał nie ten leżący.

Cóż czasy się zmieniły. Coraz mniej koni, a rycerzom o sprzęt mielstwo. Renesans przepięknych turniejów pozycji, którą starożytni walczyli o uśmiech, kwiat i coś tam więcej, przeżywamy obecnie. Oto w turnieju jednego wiersza, w Klubie Studenta, wśród nie posiadających jeszcze debiutu książkowe go zwyciężyli rycerze Euterpe: I nagroda K. Świętock, II R. Gluth, III — Ab. Biskupski i W. Huszka. Gratulacje i cztery róże z warkocza.

**CZWARTEK.** Płyń, „Srebrna łódka” do teatru, w którym najlepszy spektakl od III jednego do I. III następnego roku, nagrody dla najlepszych, recenzentów — wszystko ufundowane przez TPL. Ten „następny rok” za niecałe dwa miesiące, kiedy to świętować będziemy doroczny Świątowy Dzień Teatru w podniosłej i niewątpliwie radosnej atmosferze zbratania społeczeństwa ze sceną i odwrotnie.

W tym też celu z inspiacją TPL w siedzibie SPATIF odbyło się spotkanie dyrektorów teatrów i działaczy KMT.

Przeanalizowano, w oparciu o doświadczenia roku ubiegłego formę i program obchodu w bieżącym roku. Pogłębiono i poszerzono na płaszczyźnie współpracy KMT z łódzkimi scenami. Przewidywano w niezwykle ciepłej i serdecznej atmosferze możliwości uatrakcyjnienia „Świątowego Dnia Teatru” z myślą o jego bohaterze-Aktorze.

**PIĄTEK.** Właśnie kupiłem z zamiarem noszenia czegoś gustownego na ścianę i jest: wystawa go belinów St. Kowalskiego „Kosmos” w Salonie Wystawowym CBWA (Piotrkowska 102).

Nie wątpię, że zakup pochłonie kosmiczną sumę pieniędzy. Obliczyłem — obym się mile rozczarował — że po napisaniu 100 notatników zbiorę odpowiednią sumę.

**SOBOTA.** Katedra i Klinika Psychiatria AM oraz Koło TPP-R przy AM i Komisja Zarządu Łódzkiego TPP-R zorganizowały 3. II br. sesję popularno-naukową poświęconą osiągnięciom psychiatrii radzieckiej. Zostały wygłoszone cztery interesujące referaty naukowe, m. in. o zastosowaniu sugestii i hipnozy w terapii psychiatrii. Bardzo ciekawie zagadnienia.

Jeżeli chodzi o świat artystyczny, to sugestia owszem, uprawia się niekiedy, ale hipnoza! To jest myśl.

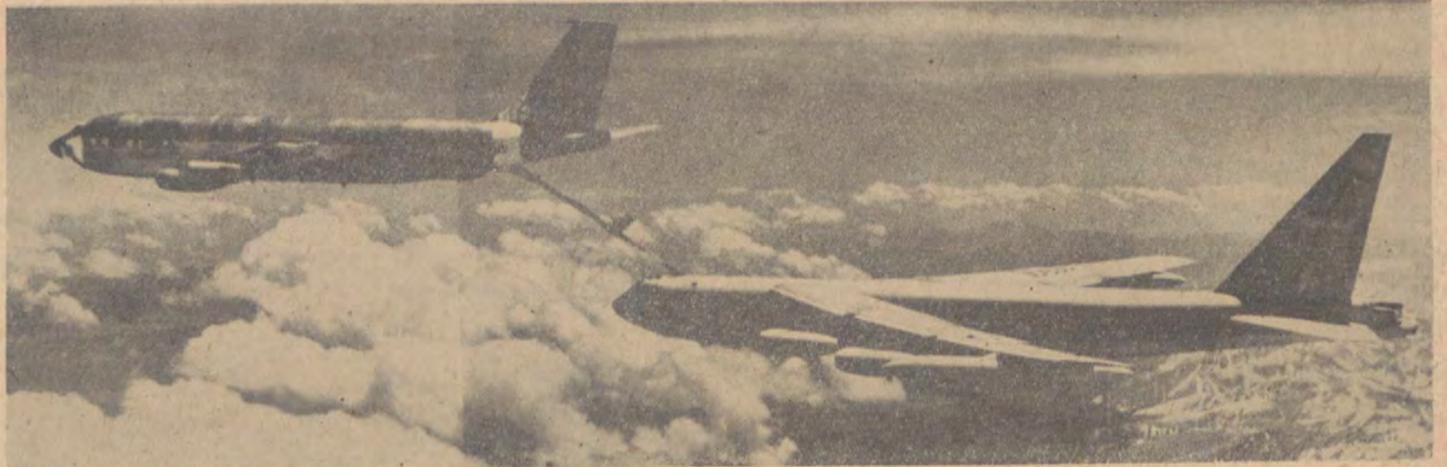
Sztuka, tylko sztuka żywa może odciągnąć kobiecą imaginację od zdrożnych lektur, która nie są naszym dziełem. Teatr jest ta żywą sztuką, a dydaktyczną, a wiodącą kobietę ku cnotliwym obyczajom. Na przykład: „Kto się boi Virginii Woolf?” A nikt. Każda kobieta po wyjściu ze spektaklu dojdzie do wniosku, że się nie da rady. Nauczka druga: „Moja radość pani Dulskiej”. Ej, ej... słowa często powtarzane „karbują się” w korze mózgowej. Albo „Tango”, rzecz sama w sobie z moralną, a striptis, striptis, niech wiadzi nasza (kobieta), że ona to nie takie szczyty... są jeszcze...

Każda potencjalna „Kłamczucha” i niedoszła (czasem doszła) zdradczyni, przy odpowiednio dobranym dla niej repertuarze, wybił się z głowy „Dom otwarty” i „Niewidzialnego Księdza”. Wiele „Szkoła wawów panowie!” Nie targaj się i nie łamaj, „Biali bracia”, Chytrzy i sztuka w kobiecie, Repertuar i z dala od książek, a czekają nas same „Radosne dni” w „Dożyciu”, szczęście bógie i „Ostatnia stacja”. Amen.

**NIEDZIELA.** W zeszłym tygodniu, w sobotę była mowa o tym jak uchronić się ma mężczyzna przed zdradą kobiety. Jeżeli chodzi o pisarzy — sprawa nie okazała się groźna, ale co ma czynić cała reszta mężczyzn?



Oto relacje tych, którzy patrzyli na dramat jaki rozegrał się na andaluzyjskim niebie. Już po raz trzynasty bombowce amerykańskie gubią ładunki nuklearne.



## KTO ZNAJDZIE BOMBĘ ATOMOWĄ?...

**PALOMARES, w styczniu.**

Don Pedro Domingo Sanchez Jea dyktował właśnie uczniom 3 klasy treść matematycznego zadania. Za oknem świeciło słońce, termometr wskazywał 25 stopni powyżej zera, a morze tego dnia było bardzo spokojne. W ten sam poniedziałek, 17 stycznia, o godz. 10.30 pracujący na polu chłopcy obserwowali ćwiczące samoloty. Bombowiec B-52, samolot-cysterna i dwa myśliwce odrzutowe, na wysokości 10.000 metrów, wykonywały skomplikowane ćwiczenia. Dowódca bombowca Charles Wendorf z Luizjany zniżył się pod cysternę, oba myśliwce leciały obok, znacząc na niebie białe smugi. Chłopcy z Palomares przywykli do oglądania tego rodzaju ćwiczeń. W tej części Andaluzji każdego poniedziałku, zjawiają się na niebie wielkie samoloty, ale nikt nie wie skąd przylatują.

50 km od Palomares, na tarasie szkoły 18-letnia Carmen Acosta przyglądała się wraz z koleżankami ewolucjom lotników. Niespodziewanie ujrzała dziewczynki lecące ku ziemi ogniste pociski — olbrzymie, czerwone kule, jasne jak słońce. Jedną z nich pękła w powietrzu, a trzy spadły, znacząc na horyzoncie krwawą smugę.

Grupa samolotów zniknęła z oczu — jeden tylko jeszcze przez chwilę kontynuował swój lot, ale i on zginął w chmurze dymu. Powietrzem targnęły gwałtowne eksplozje... — „Rzucają bomby” — krzyczały dziewczyny.

W Palomares nauczyciel ujrzał oślepiający błysk. Ogniste kule padały z szaloną szybkością na plażę w Villaricos, w pobliżu szkoły, na wzgórze otaczające wioskę. Wśród ognia można było dostrzec białe i czarne spadochrony. Nagle jakiś biały spadochron zapalił się... Człowiek leciał jak pocisk.

Francisco Simon Orts, szypier kutra „Agustin i Rosa” widział spadające z nieba przedmioty dziwnego kształtu, słyszał huk eksplozji, patrzył jak ludzie wpadali w morze. Francisco wezwał przez radio kolegę z kutra „Dorita”. Roldan przybył natychmiast i wraz z Francisco ratował tonących: kapitana Wendorfa, porucznika M. Rooney'a i majora L. Mes senera. Czwarty ocalały lotnik — to Ivens Buchanan, operator radarowy, uratowany przez Gonzalesa Nowarro, który go zawiózł do ambulatorium w Wera. Wszyscy lotnicy zostali bardzo szybko zabrani do bazy lotniczej w San Javier di Murcia. Nikt z nich nie powiedział ani słowa.

Dlaczego lotnicy milczeli? Jakiej strzegli tajemnicy?

B-52 nr 80-256, który rozbił się nad Palomares, wystartował z Caroliny. W locie nad Europą miał pobrać paliwo z latającej cysterny K-153. B-52 miał na swym pokładzie groźny ładunek — 4 głowice nuklearne, zwane przez pilotów „the friends”. Miejsce spotkania z cysterną — niebo nad Andaluzją, czas spotkania — godz. 10.20! Tankowanie paliwa miało od być się w locie.

Świadkowie tragedii opowiadają, że bombowiec leciał pod cysterną, po obu stronach której płynęły myśliwce. Samolot-cysterna opuścił długi przewód znaczący czerwonym i żółtym kolorem. Przy pomocy tej olbrzymiej „strzykawki” cysterna tankowała paliwo. Manewr w zasadzie prosty, należy do najniebezpieczniejszych czynności wykonywanych podczas lotu. Dzieje się to zwykle na bardzo znacznych wysokościach, a jeżeli coś zawiedzie...

Stało się to w ułamku sekundy...! Biały obłok przysłonił obie maszyny... po chwili czerniał jak smoła. Uchodzące z przewodu paliwo pionoło. Straszliwą eksplozję słyszano w odległości 135 km — w Murzii. — „Ziemia się trzęsie, trzęsienie ziemi!” — krzyczeli przerażeni ludzie. A kiedy oba samoloty runęły na ziemię, uniósł się w górę straszliwy grzyb. Wśród kłębow dymu sunął w niebo ognisty język, długi na pół kilometra.

Szczątki obu samolotów zostały rozrzucone na przestrzeni 4 km. Kawalki rozbitego bombowca spadły tuż obok domu Jozefa Lario, która ze starym ojcem siedziała pod drzewem w sadzie. Jozefa Lario widziała jak

niebo przeciał pionący meteor. — „Dał się słyszeć straszliwy huk” — opowiada Jozefa, która wbiegła do domu i zabarykadowała drzwi, na wpół żywa ze strachu.

Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że w piekłem dymu i ognia spadły razem z bombowcem 4 bomby nuklearne. Podobno 3 z nich zostały już odnalezione — czwartej wciąż brak...

Pierwszy, który przybył na miejsce katastrofy był Ruiz Marin — fotograf z Voz de Almeria. „Zainteresowałem mnie przede wszystkim dziwnym, szary przedmiot wbity w ziemię. — Co to może być?” — pytał Marin milicjanta. — „Coś bardzo dziwnego” — powiedział milicjant.

Amerycanie przybyli helikopterami w sześć godzin po wypadku. Był z nimi major St. J. Donovan — dowódca baz amerykańskich w Hiszpanii i generał William. Obaj interesowali się przede wszystkim przedmiotami, jakie wyrzucił bombowiec zanim eksplodował. Potem przyszli specjaliści — marynarze z bazy w Moron de la Frontera (Sewilla) i w Torreion de Ardos (Madryt). Zjawili się również hiszpański generał Patino Montis, pułkownik Fernandez Herrero — szef Gwardia Civil i inni urzędnicy. O bombie nuklearnej nie wspomiano. Nie wspominała o niej również miejscowa prasa. Więzy przyjaźni łączące Hiszpanię i Amerykę nakazują milczenie w tej sprawie. W myśl traktatu sprzed 20 lat, który został odnowiony w 1953 r. Amerykanie mają w Hiszpanii trzy wielkie bazy lotnicze: Moron de la Frontera, Torreion de Ardos Roto i bazę w Saragossie. Lądujące w Torreion de Ardos samoloty amerykańskie zostają natych

miast osłonięte kartonowymi parawanami. Dzieje się to tak szybko, że nie sposób rozpoznać jakiego typu jest samolot i zabarykadowała drzwi, na wpół żywa ze strachu.

Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że w piekłem dymu i ognia spadły razem z bombowcem 4 bomby nuklearne. Podobno 3 z nich zostały już odnalezione — czwartej wciąż brak...

Pierwszy, który przybył na miejsce katastrofy był Ruiz Marin — fotograf z Voz de Almeria. „Zainteresowałem mnie przede wszystkim dziwnym, szary przedmiot wbity w ziemię. — Co to może być?” — pytał Marin milicjanta. — „Coś bardzo dziwnego” — powiedział milicjant.

Amerycanie przybyli helikopterami w sześć godzin po wypadku. Był z nimi major St. J. Donovan — dowódca baz amerykańskich w Hiszpanii i generał William. Obaj interesowali się przede wszystkim przedmiotami, jakie wyrzucił bombowiec zanim eksplodował. Potem przyszli specjaliści — marynarze z bazy w Moron de la Frontera (Sewilla) i w Torreion de Ardos (Madryt). Zjawili się również hiszpański generał Patino Montis, pułkownik Fernandez Herrero — szef Gwardia Civil i inni urzędnicy. O bombie nuklearnej nie wspomiano. Nie wspominała o niej również miejscowa prasa. Więzy przyjaźni łączące Hiszpanię i Amerykę nakazują milczenie w tej sprawie. W myśl traktatu sprzed 20 lat, który został odnowiony w 1953 r. Amerykanie mają w Hiszpanii trzy wielkie bazy lotnicze: Moron de la Frontera, Torreion de Ardos Roto i bazę w Saragossie. Lądujące w Torreion de Ardos samoloty amerykańskie zostają natych

miast osłonięte kartonowymi parawanami. Dzieje się to tak szybko, że nie sposób rozpoznać jakiego typu jest samolot i zabarykadowała drzwi, na wpół żywa ze strachu.

Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że w piekłem dymu i ognia spadły razem z bombowcem 4 bomby nuklearne. Podobno 3 z nich zostały już odnalezione — czwartej wciąż brak...

każdy najmniejszy nawet odłamek samolotu. Część bombowca spada w pobliżu szkoły w Palomares.

„Lievaba la atomica — niósł bombę atomową” — mówią dzieci, nie zdając sobie sprawy z grozy jaka zawisła na bezchmurnym niebie Andaluzji.

Ale wśród ludności niepokój wzrasta. Gubernator Almeri zmuszony był wydać ogłoszenie... „nie ma niebezpieczeństwa radioaktywności”.

Dokładnie 5 lat temu 24 stycznia 1961 r. inny B-52 startujący z bazy Seymour Johnson uległ wypadkowi nad terytorium amerykańskim. Ile głowic nuklearnych wiózł? — tego nikt nie wie. Katastrofa nad Hiszpanią jest 13 kolejną katastrofą bombowców z ładunkiem nuklearnym. Departament Obrony otacza te sprawy największą tajemnicą. Ale żaden z tych wypadków nie przeszkodził dalszym lotom bombowców z głowicami nuklearnymi na pokładzie.

Wszystko co się dzieje na pokładzie powietrznych gigantów zostaje zapisane przez urządzenia elektroniczne w specjalnych aparatach zabezpieczonych od ognia i wstrząsów. Automat notuje działanie mechanizmów, temperaturę startu i lądowania, każdy sygnał radiowy równo wysłany jak i odebrany, jednym słowem powstaje całkowita radiografia każdorazowego lotu.

Tego zapisu szukali agenci amerykańscy, przybyli do Palomares, kiedy płonął jeszcze kadłub rozbitego bombowca. Wydobyli z niego czarny przedmiot, który pozwolił może rozszyfrować tajemnicę straszliwej katastrofy.

Oprac. MARIA TYMOWSKA



**Lewym okiem**

TYPOWE I NIETYPOWE

Dawno już temu ludzie wpadli na pomysł, żeby niektóre przedmioty codziennego użytku wytwarzać w identycznych rozmiarach i kształtach, bo to znakomicie upraszcza tysiące spraw i spraw. Zawiera się międzynarodowe umowy standardyzacyjne, ustala międzynarodowe normy.

Jeszcze dawniej temu ludzie zapragnęli urozmaicić sobie żywot jak się da, a zwłaszcza zróżnicować wygląd każdej niewiasty i każdego męża, podkreślić ich jedność, odrębność, ich wrodzone cechy; zauważono też, że sąsiad od sąsiada, brat od brata różnią się wzrostem, tuszą, kształtem, kolorem oczu — i że trzeba się z tym póki co pogodzić.

Takie są obiektywne, a więc suche i nudne stwierdzenia. W naszym przemyśle i handlu pracują jednak sfrustrowani poeci, którzy nie znoszą nudy i lubią stawiać sprawy tak zwane oczywiste — na uszach.

Có tam normalizacja! Do oprawki pasuje cóż szosta żarówka, chociaż oprawki i żarówki od początku świata były znormalizowane. Trzy na sześć dadzą się w ogóle wkręcić. Z tych trzech jedna sięga za płytko, druga siedzi za luźno, wreszcie trzecia się pali, tylko że przy wykrecaniu cała metalowa część zostaje w oprawce i trzeba zrywać żyrandol żeby toto obcęgami wyekstrahować. Wtyczki do kontaktu wbijają się sieliskiem albo też wypadają same, gdy ulicą przejeżdża tramwaj. Automatyczne sprężyny do tapczanów mają tak różne wymiary, że albo trzeba ich kupić setkę i przez miesiąc odkręcać i przykręcać, póki się wreszcie nie trafi na działającą harmonijnie parę, albo też przebudować tapczan i nadać mu wdzięczny kształt ukośnika, rombu lub trapezu.

Za to w branżach, których największy sukces powinien polegać na maksymalnej różnorodności wyrobów, uparliśmy się dążyć konsekwentnie do tego, co się nazywa wydłużaniem serii. Nieważne, że wraz z seriami wydłużają się miny konsumentów. Czym więcej wytwarza się czapek we wzorze „Animals”, tym produkcja jest bardziej opłacalna. Jeszcze zaś bardziej zyska na opłacalności, gdy wszystkie czapki we wzorze „Animals” będzie się produkować w jednym rozmiarze, z tej samej skóry, w tym samym kolorze. Nastawi się automat, setki tysięcy czapek poleca, a majster z administracją pójdą na piwo, dumni z osiągniętych wskaźni-

ków. Konsument zaś włoży w czapkę kawał Expressu, podetnie, podwinie i będzie nosił.

Tak samo jest z butami, z konfekcją lekką i ciężką, najcięższą nawet z lekką. Wszyscy wiedzą, że młodzież teraz wysoka i szczupła. Z notesem w ręku wchodziłszy do szesnastu (szesnastu) sklepów w Łodzi mieście, i bluzki dla córki nie było. Córka nietypowa, powiadają. Pomiarów antropometrycznych brak, powiadają. Parę tysięcy lat dziewczęta i kobiety chodzą w bluzkach choć pomiarów antropometrycznych nie było. Teraz nagle dbaliśmy z postępowaniem do wniosku, że bez tych pomiarów ani rusz. Córka nietypowa, bluzki i buty typizujemy, wszystko na jeden „rozmiar-wzrost”, niech nam się seria wydłuża!

Na szczęście sztaby znawców pracują już nad tym, żeby regulować wzrost człowieka. W następnym etapie pomyśleli się o podregulowaniu stóp, rąk, głów, ramion, bioder i biustów. Pomyśleli — jakie cudne perspektywy dla setek różnych galezi wytwórczości! Wszyscy obywatela jednakowi! Żadnych numeracji, tęgości, długości, obwodu! Jednakowe spodnie, koczacki, ławki szkolne, staniki, pończochy, długie, długie serie płaszczy, kapeluszy, spódnic, szelek, — no, czysta Kanada!

Nareszcie producenci będą mieli czas zająć się większym urozmaicheniem żarówek, śrubek, wkrętek i tym podobnych, nudnych detali.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 36. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Ogłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 301. II. 66. E-2